

**FRANK HERBERT**

**POCHODZENIE  
W LINII PROSTEJ**

PRZEKŁAD: AGNIESZKA SYLWANOWICZ



## I

Vincent Coogan skubnął cienką dolną wargę, patrząc na obraz swej rodzinnej planety rosnący na ekranie widokowym statku gwiazdowego.

— Co mogło spowodować, że Patterson nagle odwołał mnie z wyprawy kolekcjonerskiej dla Biblioteki? — mruknął.

Główny nawigator odwrócił się do Coogana, zauważył wydłużoną twarz urzędnika Biblioteki.

— Czy pan coś mówił, sir?

— Hę? — Coogan zdał sobie sprawę, że myślał na głos. Wciągnął głęboko powietrze i wyprostował swą wysoką, żylastą postać przed ekranem widokowym.

— Dobrze wrócić do Biblioteki.

— Zawsze dobrze być w domu — rzekł nawigator. Odwrócił się do planety widniejącej na ekranie.

Był to świat łagodnie pofalowanych równin jak ogrody, obracający się pod starym słońcem. Statki wycieczkowe ślizgały się po płytkich morzach. Wioski płaskich, kredowobiałych domów skupiały się wokół szybów wind, które prowadziły w głąb planety. Przez równiny płynęły leniwymi meandrami strumienie. Ogromne motyle trzepotały między drzewami i kwiatami. Ludzie spacerowali czytając książki lub spoczywali, mając przed sobą czytniki widokowe.

Statek drgnął, kiedy zostały uruchomione zespoły lądownicze. Coogan wyczuł stopami jego moc. Nagle zdał sobie sprawę, że wraca do domu, że na coś czeka i to na nowo wystrzyło mu zmysły. Wystarczyło to, żeby rozładować niepokój spowodowany odwołaniem i żeby zneutralizować uczucie niezadowolenia wywołane pozostawieniem rocznej pracy bez zakończenia.

Wystarczyło też, żeby jego myśli pozbawić goryczy, kiedy przypomniał sobie słowa, które ktoś na jednym ze światów zewnętrznych wyciął tuż obok głównego luku statku gwiazdowego. Słowa te zostały głęboko wyryte pod emblematem Biblioteki Galaktycznej przedstawiającym uskrzydłony but, prawdopodobnie za pomocą ogniowego dłuta Gernsera.

*„Wracajcie do domu, parszywe chomiki!”*

Parszywe chomiki były w domu.

Dyrektor Biblioteki Galaktycznej. Caldwell Patterson, siedział za biurkiem w swoim gabinecie głęboko pod powierzchnią planety, trzymając w dłoniach kartkę metalicznego papieru. Był starym człowiekiem, nawet jak na warunki LXXXI wieku, kiedy dzięki geriatrici 600 lat nie było niczym niezwykłym. Niektórzy mówili, że Patterson był tak długo w samej Bibliotece. Siwe włosy przylegały rzadkimi kosmykami do jego bladej czaszki. Jego twarz przywodziła na myśl pomarszczoną głowę starego ptaka o zakrzywionym dziobie.

Kiedy Coogan wszedł do gabinetu, na biurku Pattersona zabrzączał wizer. Dyrektor pstryknął przełącznikiem, wskazał Cooganowi fotel i powiedział zmęczonym, zrezygnowanym głosem:

— Tak?

Coogan wpasował swą wysoką postać w fotel i jednym uchem przysłuchiwał się rozmowie w wizerze. Wyglądało na to, że zbliżał się jakiś statek ze światów zewnętrznych i chciał specjalnych udogodnień przy lądowaniu. Coogan rozejrzał się po znajomym gabinecie.

Za dyrektorem była ściana pełna płyt, tarcz, reostatów, głośników, mikrofonów, oscylografów, klawiszy, ekranów. Dwie ściany boczne stanowiły ogniskujące romboidy do wyświetlania trójwymiarowych obrazów, ściana, w której były drzwi, zawierała 8 miniaturowych widekranów nastawionych na różne programy informacyjne Biblioteki. Wszystkie potencjometry były skręcone do zera, co wypełniało pokój jednostajnym, cichym szmerem.

Patterson zaczął bębnić palcami po biurku, patrząc ze złością w biurkowy wizer. Wreszcie powiedział:

— No dobrze, powiedzcie im, że nie mamy udogodnień dla gości honorowych. Ta planeta poświęciła się wiedzy i badaniom. Niech wylądują na normalnej płycie. Będę kierował się moim Kodeksem i spełnię każdy rozkaz rządu, o ile będę mógł, ale po prostu nie mamy udogodnień, o jakie proszą.

Dyrektor wyłączył wizer i zwrócił się do Coogana:

— No, Vincent, widzę, że uniknąłeś zielonej zgnilizny Hesperyd. Przypuszczam, że z niepokojem czekasz na wyjaśnienie, dlaczego cię stamtąd odwołałem?

„Te same dydaktyczne, nadęte bujdy” — pomyślał Coogan. Powiedział:

— Niezupełnie jestem robotem — i ułożył usta w krótkim, krzywym uśmiechu.

Patterson skrzywił niebieskawe wargi.

— Mamy nowy rząd — powiedział.

— Czy dlatego mnie pan wezwał? — spytał Coogan.

Poczuł, jak nagle wraca mu cała uraza, którą już przełknął po otrzymaniu polecenia powrotu.

— W pewnym stopniu tak — rzekł Patterson. — Nowy rząd zamierza cenzurować wszystkie transmisje Biblioteki. Cenzor jest właśnie na tym statku podchodzącym do lądowania.

— Nie mogą tego zrobić! — wybuchnął Coogan. — Statut wyraźnie zakazuje wybierania transmisji albo jakiegokolwiek mieszania się do funkcjonowania Biblioteki! Mogę panu zacytować...

Patterson przerwał mu cichym głosem:

— Jaka jest pierwsza zasada Kodeksu Biblioteki?

Coogan zawahał się, wpatrzony w dyrektora. Rzekł:

— No... — przerwał, przypominając sobie — Pierwszą zasadą Kodeksu Biblioteki Galaktycznej jest spełniać wszystkie bezpośrednie rozkazy rządu będącego u władzy. Musi to być podstawowym nakazem w imię ochrony Biblioteki.

— Co to oznacza? — nie ulegał Patterson.

— To tylko słowa, które...

— Więcej niż słowa! — powiedział Patterson. Lekki rumieniec zabarwił jego stare policzki. — Ta zasada utrzymywała Bibliotekę przy życiu przez 8 000 lat!

— Ale rząd nie może...

— Kiedy będziesz miał tyle lat, ile ja — powiedział Patterson — zrozumiesz, że rządy nie wiedzą, czego nie mogą robić, do czasu, kiedy przestają być rządami. Każdy rząd niesie ze sobą zalążki własnego zniszczenia.

— Więc pozwolimy im nas cenzurować — rzekł Coogan.

— Może — powiedział Patterson. — Jeśli będziemy mieli szczęście. Nowy Wielki Regent jest przywódcą Partii Łagodnej Ignorancji. Mówi, że nas ocenzuruje. Kłopot w tym, że nasze informacje wskazują, iż postanowił on zniszczyć Bibliotekę jako swego rodzaju przykład.

Zrozumienie znaczenia tych słów zajęło Cooganowi chwilę.

— Zniszczyć...

— Podpalić — rzekł Patterson. — Jego cenzor jest jego głównym generałem i najemnym zbirzem.

— Czy on sobie nie zdaje sprawy, że to coś więcej niż Biblioteka? — spytał Coogan.

— Nie wiem, z czego on sobie zdaje sprawę — rzekł Patterson — ale stoimy w obliczu bezpośredniego zagrożenia i żeby skomplikować sytuację jeszcze bardziej, panuje zamieszanie wśród personelu. Pracownicy ukrywają broń i ściągają statki kolekcjonerskie wbrew wyraźnym rozkazom. Ten Toris Sil-Czan kręci się, mówiąc każdemu...

— Toris!

— Tak, Toris. Twój miły kolega, czy czym on tam jest. On przewodzi tej rebelii i domyślam się, że...

— Czy on nie zdaje sobie sprawy, że Biblioteka nie może prowadzić wojny, nie ryzykując swego zniszczenia? — spytał Coogan.

Patterson westchnął.

— Jesteś jednym z niewielu spośród młodej generacji, którzy to rozumieją — rzekł.

— Gdzie jest Toris? — spytał Coogan stanowczym tonem. — Porozmawiam...

— Nie ma teraz na to czasu — rzekł Patterson. — Zbir Wielkiego Regenta zjawi się lada moment.

— Nie było ani słowa o tym na Hesperydach — powiedział Coogan. — Jak się nazywa ten Wielki Regent?

— Leader Adams — odparł Patterson.

— Nigdy o nim nie słyszałem — rzekł Coogan. — A kto jest tym zbirem?

— Nazywa się Pczak.

— Pczak... a dalej?

— Po prostu Pczak.

Był to ordynarny mężczyzna o grubych rysach, nie mający nic z subtelności światów wewnętrznych. Był owinięty w brązową togę prawie tego samego koloru, co jego skóra. Z okrągłej, wklęsłej twarzy patrzyły dwie szparki oczu. Wszedł do gabinetu Pattersona. Za nim postępowało dwu mężczyzn w szarych togach, z wiszącymi u pasów blasterami.

— Jestem Pczak — oznajmił.

„Niezbyt miły okaz” — pomyślał Coogan. Było coś nieprzyjemnego w stylizowanej prostocie ubioru Pczaka. Przypominał on Cooganowi krążownik, z którego usunięto wszystkie zbędne rzeczy, mogące przeszkadzać w walce.

Dyrektor Patterson obszedł biurko, poruszając się powoli z pochylonymi ramionami, jak przystało jego wiekowi.

— Jesteśmy zaszczytzeni — rzekł.

— Czyżby? Kto tu dowodzi? — zapytał Pczak.

Patterson skłonił się.

— Jestem Dyrektor Caldwell Patterson.

Wargi Pczaka skrzywiły się w czymś, co słabo przypominało uśmiech.

— Chciałbym wiedzieć, kto jest odpowiedzialny za te obraźliwe odpowiedzi udzielane naszemu oficerowi łączności. „Ta planeta poświęciła się wiedzy i badaniom!” Kto to powiedział?

— Ale... — Patterson przerwał, zwilżył wargi językiem. — Ja to powiedziałem.

Mężczyzna w brązowej todze wbił wzrok w Pattersona.

— Kim jest ten drugi? — ruchem kciuka wskazał Coogana.

— To Vincent Coogan — odparł Patterson. — Właśnie wrócił z Grupy Hesperyd, aby być pod ręką, żeby pana powitać. Pan Coogan jest moim głównym pomocnikiem i następcą.

Pczak popatrzył na Coogana.

— Zbierał śmieci z resztą tych chomików — rzekł.

Odwrócił się z powrotem do Pattersona:

— Ale może zaistnieje potrzeba następcy.

Jeden ze strażników stanął u boku generała. Pczak powiedział:

— Ponieważ wiedza to nieszczęście, nawet samo to słowo jest niesmaczne w pochlebnym użyciu.

Coogan nagle wyczuł w pokoju coś elektryzującego i zabójczego. Było jasne, że Patterson też to wyczuł, bo spojrzął prosto na Coogana i powiedział:

— Jesteś tu, by słuchać.

— Wykazuje pan niefortunną ochotę do podziwiania wiedzy — rzekł Pczak. Blaster strażnika nagle uniósł się i opuścił na głowę dyrektora. Patterson osunął się na podłogę, a z rany na jego głowie popłynęła krew. Coogan zaczął stawiać krok do przodu, ale zatrzymał go drugi strażnik szturchnięciem blastera w brzuch. Przed oczyma Coogana zawirowała czerwona mgła, poczuł wszechogarniający zawrót głowy. Mimo oszołomienia część jego umysłu nadal pracowała produkując informacje. „To zwykle postępowanie ciemieńców” — mówił mu rozum. — „Zastrasz swoje ofiary natychmiastową demonstracją gwałtu”. Coś zimnego, twardego, wyrozumowanego zawładnęło świadomością Coogana.

— D y r e k t o r z e Coogan — powiedział Pczak — czy ma pan jakieś zastrzeżenia wobec tego, co się właśnie wydarzyło?

Coogan spojrzął z góry na przysadzistą brązową postać. „Muszę zachować kontrolę nad sytuacją” — pomyślał. — „Do walki z nimi zgodnie z Kodeksem zostałem tylko ja”. Powiedział:

— Każdy człowiek dąży do awansu.

Pczak uśmiechnął się.

— Realista. A teraz objaśnij tę swoją Bibliotekę. — Obszedł biurko, usiadł. — Utrzymywanie takiego siedliska zarazy nie wydaje się naszemu rządowi zbyt uzasadnione, ale mam rozkaz przeprowadzenia śledztwa, zanim wydam osąd.

„Twoje rozkazy to przeprowadzić śledztwo pro forma, zanim podpalisz Bibliotekę” — pomyślał Coogan. Wziął z biurka niewielkie urządzenie sterujące obrazami i przypiął je do pasa. Natychmiast blaster w ręce strażnika szturchnął go w bok.

— Co to jest? — zapytał ostro Pczak.

Coogan przełknął ślinę.

— Zespół sterowania obrazami — spojrzął na Pattersona rozciągniętego na podłodze. — Czy mogę wezwać robota szpitalnego do pana Pattersona?

— Nie — odparł Pczak. — Co to jest zespół sterowania obrazami?

Coogan odetchnął głęboko dwa razy, spojrzął na boczną ścianę.

— Ściany tego pokoju są ogniskującymi romboidami do projekcji trójwymiarowych obrazów — rzekł. — Zostały wyłączone, aby uniknąć rozpraszania uwagi podczas pańskiego przybycia.

Pczak rozsiadł się w fotelu.

— Możesz kontynuować.

Strażnik ciągle miał blaster wycelowany w Coogana.

Stając naprzeciw ściany, Coogan pstryknął przełącznikami przy pasie. Ściana stała się oknem wychodzącym na szeregi szafek na akta. W niedużej odległości było widać pracujące roboty.

— Terra jest właściwie pustą skorupą — powiedział Coogan. — Większość materii została wykorzystana do budowy statków kosmicznych podczas wielkiego wylewu.

— Znowu ta bajeczka — rzekł Pczak.

Coogan przerwał. Mimowolnie jego wzrok powędrował do nieruchomej postaci Caldwell Pattersona na podłodze.

— Dalej — powiedział Pczak.

To zimne, twarde, wyrachowane coś w umyśle Coogana powiedziało: „Wiesz, co masz robić. Wystaw go na swój cios”.

Skupiając się na ekranie, Coogan rzekł:

— Utrata masy została zrekompensowana za pomocą wielkiego urządzenia grawitronicznego w centrum planety. Prawie cała objętość Terry jest zajęta przez Bibliotekę. Poziomy są podzielone na zachodzące na siebie kwadraty o boku 100 km. Bogactwo zgromadzonych zapisów przechodzi ludzką wyobraźnię. Jest to...

— Może twoją wyobraźnię — powiedział Pczak. — Moją nie.

Coogan zwalczył dreszcz pełnący mu po kręgosłupie, zmusił się do mówienia. Ciągnął:

— Jest to składnica wszystkich zapisanych działań każdego rządu w galaktyce. Główne zasady zostały ustalone przez pierwotną instytucję, z której wyrosła ta. Była ona znana jako Biblioteka Kongresu. Ta instytucja miała reputację...

— Kongres — powiedział Pczak swoim straszonym, martwym głosem. — Proszę uprzejmie wyjaśnić ten termin.

„Co ja takiego powiedziałem?” — zastanowił się Coogan. Spojrzał na Pczaka i rzekł:

— Kongres był starożytną formą rządu. Najbliższym współczesnym przykładem jest Rada Tschi, która...

— Tak myślałem! — warknął Pczak. — To kółko dyskusyjne! Czy mógłby mi pan wyjaśnić, panie Coogan, dlaczego ostatnia emisja Biblioteki wychwalała zalety tej formy rządu?

„A więc o to chodzi!” — pomyślał Coogan i rzekł:

— I tak nikt nie ogląda emisji Biblioteki. Przy tych około 5 000 kanałów nadających...

— Proszę odpowiedzieć na moje pytanie, panie Coogan — Pczak pochylił się do przodu. Oczy strażnika z blasterem rozblęskły ochoczo. Wzrok Coogana znowu spoczął na nieruchomej sylwetce Pattersona na podłodze.

— Nie mamy kontroli nad wyborem programów — odparł Coogan — poza dziesięcioma specjalnymi kanałami do udzielania odpowiedzi na pytania badaczy i dziesięcioma innymi kanałami, które przeglądają cały nowy materiał przy wprowadzeniu go do Biblioteki.

— Brak kontroli — powiedział Pczak. — To ciekawa odpowiedź. Dlaczego tak jest?

Coogan potarł kark lewą ręką i odrzekł:

— Przywilej emisji został nadany przez pierwszy ogólnosystemowy rząd w XXI wieku. Wymyślono metodę przypadkowej selekcji programu dla zapewnienia bezstronności. Uważano, że informacje Biblioteki zawsze powinny być dostępne bez ograniczeń dla wszystkich...

Jego głos powoli ścichł i Coogan zastanowił się, czy nie zacytował zbyt dużo ze statutu. „No cóż, mogą go przeczytać w oryginale, jeśli zechcą” — pomyślał.

— Fascynujące — powiedział Pczak. Spojrzał na najbliższego strażnika. — Prawda?

Strażnik wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Coogan wziął powolny, kontrolowany oddech. Czuł, że zbliża się kryzys. Był jak ciężar gniotący piersi.

— To musi być dokładne śledztwo — rzekł Pczak. — Zobaczmy, co nadajecie w tej chwili.

Coogan pstryknął przełącznikami przy pasie i przed romboidem po prawej stronie powstał obraz. Przedstawiał on człowieka z zakrzywionym nosem. Miał na sobie skórzane spodnie i bluzę, buty z czymś przypominającym pysk zwierzęcia wystającym z nosków i kapelusz z kitą piór na głowie.

— To jest zwykła przypadkowa emisja informacji — rzekł Coogan. Spojrzał na swój pas. — Kanał 82.

Zwiększył głośność.

Mężczyzna mówił językiem pełnym chropawych spółgłosek przetykanych syczącymi dźwiękami. Obok niego na podłodze leżał stos małych okrągłych przedmiotów, z których każdy miał przywiązaną kartkę.

— Mówi martwym językiem Procyon — rzekł Coogan. — Jest zoologiem z systemu,

który został zniszczony przez wybuch Nowej 34 wieki temu. Te przedmioty na podłodze to czaszki miejscowych gryzoni. Mówi, że spędził 11 lat klasyfikując ponad 8 000 tych czaszek.

— Dlaczego? — spytał Pczak. Wydawał się naprawdę zainteresowany, gdy tak wychylił się do przodu, aby przypatrzeć się kupce czaszek na podłodze.

— Chyba nie widzieliśmy tej części — odparł Coogan. — Prawdopodobnie dla udowodnienia jakiejś teorii zoologicznej.

Pczak odchylił się na oparcie krzesła.

— On nie żyje — rzekł. — Jego system już nie istnieje. Jego językiem nikt już nie mówi. Czy dużo takich rzeczy się nadaje?

— Obawiam się, że 99% emisji Biblioteki, z wyjątkiem kanałów badawczych, jest tego rodzaju — powiedział Coogan. — Taka jest istota przypadkowej selekcji.

— Kogo obchodzi teoria tego zoologa? — zapytał Pczak.

— Może jakiegoś innego zoologa — odparł Coogan. — Nigdy nie wiadomo, kiedy jakaś informacja okaże się cenna.

Pczak wymruczał coś pod nosem, co zabrzmiało jak „chomiki”.

— Chomiki? — powiedział Coogan.

Mały brązowy człowiek uśmiechnął się.

— Tak was nazywamy — rzekł — i jak widać słusznie. Jesteście objuczeni takimi beużytecznymi materiałami, jakimi gryzonie zachwycalyby się.

„Czas na małą lekcję” — pomyślał Coogan. Rzekł:

— Chomik, a dokładniej jego pobratymiec, zwany nowikiem, był gryzoniem o zasięgu występowania ograniczonym do tej planety. Tutaj jest gatunkiem wymarłym, ale istnieją jeszcze egzemplarze na Markeb IX i kilku planetach Pierścienia. Nowik-chomik zamieszkiwał tereny zalesione i był znany ze swego zwyczaju podkradania drobnych przedmiotów z obozów myśliwych. Za każdą rzecz, którą wziął, nowik-chomik zostawiał coś ze swego gniazda: kawałek sznurka, błyszczące szkiełko, kamyk. Wśród tych wszystkich beużytecznych przedmiotów, które zapełniały jego gniazdo, mogła się znajdować bryłka cennego kruszcu. Ponieważ nowik-chomik nie dokonywał żadnej selekcji w swojej wymianie — działał przypadkowo — mógł zostawić cenny kruszec w obozie myśliwego w zamian za kapsel od butelki.

Pczak wstał, przeszedł przez pokój do obrazu zoologa, przesunął rękę przez wyświetlany obraz.

— Zdumiewające — rzekł głosem pełnym sarkazmu — to ma być samorodek?

— Raczej pojedyncza żyłka kruszcu — powiedział Coogan.

Pczak odwrócił się twarzą do Coogana.

— A co jeszcze chowacie w tym nowikowym gnieździe? Są jakieś samorodki?

Coogan spojrzał na Pattersona leżącego na podłodze. Szczupła, stara postać była nieruchoma.

— Czy mogę najpierw oddać pana Pattersona pod opiekę robota szpitalnego?

Generał nie spuszczał oczu z Coogana.

— Nie. Odpowiedz na moje pytanie.

„Pierwsza zasada Kodeksu — posłuszeństwo” — pomyślał Coogan. Powolnym, kontrolowanym ruchem przesunął dźwignię na skrzynce przy pasie. Procyoński zoolog zniknął, a ściana stała się ekranem, na którym widniała strona z książki. „Oto przynęta” — pomyślał Coogan — „Mam nadzieję, że się zatruje”. Rzekł:

— Jest to wczesny zapis taktyki wojskowej, obrazujący pewne skuteczne i nieskuteczne metody.

Pczak odwrócił się do ekranu, założył ręce za plecami, zakołysał się na stopach w przód i w tył.

— Co to za język?

— Starożytny angielski z Terry — rzekł Coogan. — Dysponujemy czytnikiem, który może dokonać ustnego przekładu, jeśli pan sobie życzy.

Generał nie odrywał oczu od ekranu.

— Skąd mam wiedzieć, czy ten zapis jest dokładny?

— Kodeks Biblioteki nie dopuszcza manipulacji zapisami — rzekł Coogan — jesteśmy zobowiązani przysięgą do zachowania teraźniejszości dla przyszłości. — Spojrzał na Pczaka przy ekranie. — Mamy też inne zapisy bitewne, taktyki każdego gatunku napotkanego przez ludzi. Np. mamy całą historię wojny Praemira z Romana II.

Coogan pokręcił regulatorami przy pasie i ekran podjął historię wojny skompilowaną dla generała nie żyjącego od 16 stuleci. Pczak śledził zapis przechodzący od pałek i kamieni do włócznie, zrobił wypad w kierunku dziwacznych broni. Nagle Coogan wygasił ekran.

Pczak poderwał głowę.

— Dlaczego to zatrzymałeś?

„Chwycił haczyk” — pomyślał Coogan. Powiedział:

— Pomyślałem sobie, że wolałby pan raczej obejrzeć to spokojnie w wolnej chwili. Jeśliby pan chciał, mogę przygotować pokój projekcyjny i pokazać panu, jak zamawiać zapisy, gdyby wystąpiły jakieś uboczne zagadnienia, które zechce pan zbadać.

Coogan wstrzymał oddech. „Teraz się dowiemy, czy naprawdę dał się złapać” — pomyślał.

Generał w dalszym ciągu wpatrywał się w pusty ekran.

— Mam rozkaz przeprowadzić wnikliwe śledztwo — powiedział. — Sądzę, że to podchodzi pod kategorię śledztwa. Każ przygotować pokój projekcyjny.

Odwrócił się, podszedł do drzwi, mając za sobą strażników.

— Znajduje się on na dole na 69 poziomie — rzekł Coogan. — Pokój Projekcyjny A — ruszył w kierunku Pczaka. — Ulokuję pana i...

— Zostaniesz tutaj — powiedział Pczak. — Zamiast tego użyjemy Pokoju Projekcyjnego B. Przyślij asystenta do objaśniania. — Spojrzał do tyłu. — Masz asystenta, prawda?

— Przyślę Torisa Sil-Czana — rzekł Coogan, a potem przypomniał sobie, co Patterson mówił o Torisie, przewodzącym narwańcom chcącym walczyć. Odgryzłby sobie język, gdyby to mogło cofnąć jego słowa, ale wiedział, że nie odważy się ich zmienić, bo wzbudziłoby to podejrzenia Pczaka. Wrócił do biurka, polecił centrali ruchu znaleźć Torisa i skierować go do pokoju projekcyjnego.

„Proszę cię, nie rób niczego pochopnie” — modlił się.

— Czy ten asystent to twój następca? — zapytał Pczak patrząc na Pattersona.

— Nie — odparł Coogan.

— Musisz wyznaczyć następcę — rzekł Pczak i wyszedł ze swymi dwoma strażnikami.

Coogan natychmiast wezwał do Pattersona robota szpitalnego. Żukowata maszyna na kołach wjechała bezgłośnie, podniosła nieruchomy kształt na swych płaskich, wyściełanych wysięgnikach i odjechała.

Wieczorny deszcz przesuwiał się wzdłuż swej południkowej trasy na planecie Terra, spryskując płytkie morze, zraszając stopy, napełniając kielichy kwiatów. Jeden z ekranów ściennych w gabinecie dyrektora pokazywał scenę na powierzchni — biała wioska w deszczu, rozchwane drzewa. Koptery powierzchniowe przemierzały wioskę z szumem śmigieł, błyszcząc wilgotnym metalem.

Coogan siedział przy dyrektorskim biurku z rękami założonymi przed sobą i wyrazem zmęczenia na twarzy. Czasami patrzył na ekran ścienny. Za wioską było widać wysoką sylwetkę gwiazdowego statku rządowego — alabaster z insygniami promienistego słońca na dziobie. Coogan westchnął.

Obok niego zabrzmiał dzwonek. Odwrócił się do ściany z urządzeniami sterowniczymi,



wcisnął guzik i powiedział do mikrofonu:

— Tak?

Głos podobny do drapania drutu po cienkiej płytce odezwał się z głośnika:

— Tu szpital.

— Więc? — głos Coogana zdradzał irytację.

— Dyrektor Patterson nie żył, kiedy go tu przywieziono — powiedział zgrzytliwy głos. — Roboty już pozbyły się jego ciała przez otwór CIB.

— Proszę nikomu o tym jeszcze nie mówić — rzekł Coogan. Zdjął rękę z przełącznika, odwrócił się do biurka. Teraz JEGO biurka. DYREKTOR COOGAN. Ta myśl nie sprawiła mu żadnej satysfakcji. Ciągłe pamiętał nieruchomą postać rozciągniętą na podłodze. „Straszny sposób odejścia” — pomyślał. — „Bibliotekarz powinien skończyć przy swych badaniach, po prostu cicho paść wśród półek bibliotecznych”.

Wizer biurowy zabrzączał. Coogan uderzył dłonią przełącznik i na ekranie pojawiła się twarz Pczaka. Generał ciężko oddychał, na czole pojawiły mu się krople potu.

— Czym mogę służyć! — zapytał Coogan.

— Muszę dostać skasowane zapisy instrukcji dla języka Zosma? — zażądał Pczak. — Ta twoja maszyna ciągle odsyła mnie do jakichś bzdur o symbolizmie abstrakcyjnym.

Drzwi gabinetu Coogana otworzyły się i wszedł Sil-Czan. Zobaczył, że na ekranie jest rozmowa i zatrzymał się przy drzwiach. Sil-Czan miał masywną figurę, która jednak nie wyglądała na zniewieściałą mimo tłuszczu. W jego okrągłej twarzy dominowały skośne oczy o kształcie migdałów, charakterystyczne dla mieszkańców planet Ruchbah Grupy Mundial.

Coogan potrząsnął głową w kierunku Sil-Czana, podczas gdy jego umysł szukał odpowiedzi na pytanie Pczaka. Nadeszła oznaczona hasłem „Studia semantyczne”.

— Zosma — rzekł. — Tak, to był język posługujący się tylko desygnatami drugorzędnymi. Każdy zwrot był w drugiej linii...

— Co to jest, na Shandu, desygnat drugorzędny? — wybuchnął Pczak.

„Spokojnie” — pomyślał Coogan. — „Nie mogę sobie jeszcze pozwolić na przyspieszenie wypadków”. Powiedział:

— Powinien pan poprosić sekcję semantyki. Czy pan Sil-Czan pokazał panu, jak wy-dostać potrzebne panu zapisy?

— Tak, tak — rzekł Pczak — semantyka, co?

Ekran zgasł.

Sil-Czan zamknął drzwi, przeszedł przez gabinet. Powiedział:

— Zdaje się, że Generał wyobraża sobie, że skończy swoje badania za tydzień czy dwa.

— Owszem — rzekł Coogan. Przyjrzał się Sil-Czanowi. Nie wyglądał na narwańca, ale może właśnie to zagrożenie Biblioteki było katalizatorem.

Sil-Czan usiadł na krześle naprzeciw Coogana.

— Generał to płotka — rzekł — ale wierzy w tego Leadera Adamsa. Błysk w jego oku, kiedy mówił o Adamsie, przestraszyłby świętego.

— Jak tam było na dole, w pokoju projekcyjnym? — zapytał Coogan.

— Pczak jest zajęty studiowaniem zniszczenia — odparł Sil-Czan — Jeszcze nie zdecydowaliśmy, czy mamy go zlikwidować. Gdzie jest dyrektor Patterson?

Jakiś szósty zmysł ostrzegł Coogana przed wyjawieniem, że dyrektor nie żyje. Rzekł:

— Nie ma go tu.

— To dość oczywiste — powiedział Sil-Czan. — Mam doręczyć dyrektorowi ultimatum. Gdzie on jest?

— Swoje ultimatum możesz doręczyć mnie — rzekł Coogan sucho.

Głęboko w żrenicach Sil-Czana pojawiły się małe błyski, gdy patrzył na Coogana.

— Vince, jesteśmy przyjaciółmi od dawna — rzekł — ale ty byłeś daleko w Grupie

Hesperyd i nie wiesz, co się tu dzieje. Nie stawaj jeszcze po niczyjej stronie.

— A co się tu dzieje? — zapytał Coogan. Spojrzał kątem oka w górę na Sil-Czana. Mundialczyk pochylił się do przodu i oparł łokciami na biurku.

— Jest nowy rząd, Vince, który planuje zniszczenie Biblioteki. A ta kapuściana głowa, Patterson, ulega każdemu jego rozkazowi. Zrób to, zrób tamto! A on to robi! Powiedział nam wyraźnie, że nie zaneguje rządowego rozkazu — usta Sil-Czana zacisnęły się w wąską linię.

— „To jest sprzeczne z Kodeksem Biblioteki!”

— Kto to jest „MY”? — spytał Coogan.

— Hę? — Sil-Czan zrobił głupią minę.

— Ci „MY”, którzy, jak powiedziałeś, nie zdecydowali, czy mają zlikwidować Pczaka — rzekł Coogan.

— Ach — Sil-Czan odchylił się w fotelu. — Tylko około jednej trzeciej personelu stacjonarnego. Większość załóg kolekcjonerskich przyłącza się do nas zaraz po przybyciu.

Coogan postukał palcem w biurko. „Jakieś 8 000 ludzi, mniej więcej” — pomyślał. Rzekł:

— Jaki jest twój plan?

— To łatwe — Sil-Czan wzruszył ramionami. — Mam około 50 ludzi w sekcji „C” na 69 poziomie, którzy czekają na sygnał do ataku na Pczaka i jego ochronę. Następne 300 ludzi jest na górze, gotowych do zajęcia statku rządowego.

Coogan przechylił głowę na bok i przyglądał się Sil-Czanowi w zdumieniu.

— Czy to jest twoje ultimatum?

Sil-Czan potrząsnął głową.

— Nie. Gdzie jest Patterson?

W umyśle Coogana zrodziła się decyzja. Wstał.

— Patterson nie żyje. Ja jestem dyrektorem. Jak brzmi twoje ultimatum?

Powstała chwila ciszy, kiedy Sil-Czan patrzył w górę na Coogana.

— Jak on umarł? — spytał Sil-Czan.

— Był stary — odparł Coogan. — Jak brzmi twoje ultimatum?

Sil-Czan zwilżył wargi językiem.

— Przykro mi to słyszeć, Vince — znowu wzruszył ramionami — ale to upraszcza nasze zadanie. Ty posłuchasz głosu rozsądku — wytrzymał spojrzenie Coogana. — Oto nasz plan. Przejmujemy Pczaka i jego statek, trzymamy go jako zakładnika i przestawiamy wszystkie kanały nadawania na emisje, mające nam zyskać poparcie publiczne. Z pięcioma tysiącami kanałów oznajmującymi...

— Ty cymbale! — warknął Coogan. — To najgłupszy plan, jaki kiedykolwiek słyszałem. Adams zignoruje twojego zakładnika i rzuci nam na głowy bombę gwiazdną!

— Ale, Vince...

— Nie „ale vincuj” mnie — rzekł Coogan. Obszedł biurko i stanął nad Sil-Czanem. — Jak długo będziesz się wałęsał, nie słuchając poleceń swoich przełożonych, będziesz się zwracał „per panie dyrektorze” i...

Sil-Czan zerwał się, spojrzał ze złością na Coogana i rzekł:

— Nie chcę tego zrobić, Vince, ale mamy organizację i cel. Nie możesz nas powstrzymać! Zostajesz pozbawiony dyrektorstwa, dopóki...

— Zamknij się! — Coogan stanął za biurkiem, położył rękę na krótkiej dźwigni umieszczonej nisko na pulpicie sterowniczym. — Wiesz, co to jest, Toris?

Na twarzy Sil-Czana pokazała się niepewność. Potrząsnął głową.

— To jest główny wyłącznik układu grawitronicznego — rzekł Coogan. — Jeżeli go nacisnę, odetnie układ. Każda cząsteczka gleby, wszystko, co znajduje się na zewnątrz powłoki Biblioteki, odpłynie w przestrzeń.

Rysy Sil-Czana przybladły. Wyciągnął rękę do Coogana.

— Nie możesz tego zrobić — rzekł. — Twoja żona i rodzina... wszystkie nasze rodziny są tam na górze. Nie mieliby żadnej szansy!

— Ja tu jestem dyrektorem - rzekł Coogan. — Zarobiłem na to stanowisko! — wolną ręką przesunął cztery przełączniki na ścianie sterowniczej. — To odcina twój 69 poziom płytami przeciwpożarowymi — odwrócił się do Sil-Czana. — A teraz skontaktuj się ze wszystkimi powstańcami i każ im oddać broń robotom, które do tego przydzielę. Wiem, kim są niektórzy twoi ludzie. Lepiej, żeby znajdowali się między tymi, z którymi będziesz rozmawiał. Jeśli zrobisz jeden ruch, który mi się nie spodoba, to dźwignia przesunie się w dół i tak pozostanie!

— Ty... — powiedział Sil-Czan. Zgrzytnął zębami. — Wiedziałem, że powinienem mieć blaster, kiedy tu wszedłem, ale nie! Ty i Patterson jesteście cywilizowani! Mogliśmy przemówić wam do rozsądku!

— Zaczynj te rozmowy — rzekł Coogan. Popchnął swój wizer biurkowy w kierunku drugiego mężczyzny.

Sil-Czan przysunął gwałtownie wizer do siebie, posłuchał. Coogan wydał polecenia centrum dyspozycyjnemu robotów i czekał, aż Sil-Czan skończy. Mundialczyk w końcu odsunął wizer na drugą stronę biurka.

— Czy to cię satysfakcjonuje? — spytał.

— Nie — Coogan złączył przed sobą dłonie palcami. — Uzbrajam część personelu, której mogę zaufać. Będą mieli rozkaz zabijania, jeśli zaistnieją przypadki zamieszek — wychylił się do przodu. — Poza tym będziemy mieli posterunki między sektorami i stały system przeszukiwań. Nie będziesz miał następnej szansy wywołania kłopotów.

Sil-Czan zacisnął i rozluźnił pięści.

— A co zamierzasz uczynić z tym Pczakiem i jego Leaderem Adamsem?

— Oni są rządem — odparł Coogan. — Kodeks wymaga, abyśmy wykonywali ich polecenia. Ja będę wykonywał ich polecenia. I każdego pracownika, który okaże nawet cień nieposłuszeństwa, osobiście przekażę Pczakowi dla podjęcia czynności dyscyplinarnych.

Sil-Czan podniósł się powoli.

— Znam pana ponad 60 lat, panie Coogan. To dowodzi, jak mało można się nauczyć o szcurze. Kiedy stracisz Bibliotekę na rzecz tego szaleńca, nie będziesz miał tu ani jednego przyjaciela. Ani mnie, ani ludzi, którzy teraz ci ufają. Ani twojej żony, ani twojej rodziny — uśmiechnął się szyderczo. — Ale, przecież jeden z twoich synów, Phil, jest z nami — wycełował w Coogana palec. — Mam zamiar powiedzieć wszystkim o groźbie, jakiej użyłeś dzisiaj, żeby zdobyć kontrolę nad Biblioteką.

— Kontrola nad Biblioteką jest moim zasłużonym prawem — powiedział Coogan. Uśmiechnął się, nacisnął dźwignię w ścianie sterowniczej. Ściana wykonała ćwierć obrotu wokół środkowej osi. — Toris, przyslij robota naprawczego, kiedy zameldujesz się z powrotem u Pczaka. Chcę tu umieścić specjalne instalacje.

Sil-Czan podszedł do biurka, wpatrując się w dźwignię sterującą ruchem ściany.

— Oszukałeś mnie!

— Sam się oszukałeś — rzekł Coogan. — Zrobiłeś to w chwili, kiedy zlekceważyłeś swą największą siłę — posłuszeństwo rządowi.

Sil-Czan coś mruknął, zakręcił się na pięcie i wyszedł z gabinetu. Coogan patrzył, jak drzwi się za nim zamknęły i pomyślał; „Gdybym tylko wierzył w te słowa tak mocno, jak powinienem”.

Była ładną kobietą o włosach jak żarzące się węgle i drobnych rysach, z wyjątkiem szerokich, zmysłowych ust. Jej zielone oczy zdawały się strzelać iskrami harmonizującymi z barwą włosów, kiedy patrzyła z wizera na Coogana.

— Vince, gdzie byłeś? — zażądała wyjaśnień.

Odparł zmęczonym głosem:

— Przepraszam, Fay. Miałem pracę, którą trzeba było wykonać.

Powiedziała:

— Chłopcy przywieźli swoje rodziny z Antiqua na zjazd rodzinny. Czekamy na ciebie od paru godzin, Co się dzieje? Co za bzdury opowiada Toris?

Coogan westchnął i przeciągnął ręką po włosach.

— Nie wiem, co mówi Toris, ale Biblioteka przechodzi kryzys. Patterson nie żyje, a nie mam nikogo godnego zaufania, komu mógłbym powierzyć pieczę nad tym wszystkim.

Jej oczy zrobiły się ogromne, przyłożyła rękę do ust i powiedziała przez palce:

— O nie! Tylko nie Patterson!

— Tak — odparł.

— W jaki sposób?

— Zdaje się, że to było za wiele dla niego — rzekł Coogan. — Był stary.

— Nie mogłam uwierzyć Torisowi.

Coogan poczuł wielkie zmęczenie czające się na krawędzi świadomości.

— Powiedziałaś, że są tam teraz chłopcy — rzekł. — Zapytaj Phila, czy był członkiem grupy popierającej Torisa.

— Sama mogę ci powiedzieć, że był — powiedziała. — To żadna tajemnica. Kochanie, co ci się stało? Toris powiedział, że zagroziłeś, że wyrzucisz całą powierzchnię w przestrzeń.

— Wtedy była to groźba bez pokrycia — rzekł Coogan. — Toris chciał sprzeciwić się rządowi. Nie mogłem na to pozwolić. To by tylko...

— Vince! Czy ty postradałeś zmysły? — w jej oczach było zdumienie i przerażenie. — Ten Adams chce zniszczyć Bibliotekę! Nie możemy tak po prostu siedzieć i pozwolić mu na to!

— Nasza dyscyplina rozluźniła się — odparł Coogan. — Było nam za lekko przez zbyt długi czas. Zamierzam poprawić tę sytuację!

— Ale co z...

— Jeśli pozwoli mi się postępować, jak uważam za stosowne, on nie zniszczy Biblioteki — rzekł Coogan. — Miałem nadzieję, że mi zaufasz.

— Oczywiście, że ci ufam kochanie, ale...

— Więc zaufaj mi — powiedział. — I proszę cię, zrozum, że nie ma miejsca, w którym bardziej chciałbym być, niż z tobą w domu.

Skinęła głową.

— Oczywiście, kochanie.

— Ach, jeszcze — dodał. — Powiedz Philowi, że jest w areszcie domowym za umyślne nieposłuszeństwo wobec Kodeksu. Zajmę się nim osobiście później.

Wyłączył przycisk, zanim mogła odpowiedzieć.

„A teraz generał Pczak” — pomyślał. — „Zobaczmy, czy może nam dać wskazówki, jak postąpić z Leaderem Adamsem”.

Pokój, ze względu na akustykę, miał kształt z grubsza jajowaty, przecięty w jednym końcu płaską powierzchnią ekranu i z wolnym miejscem pośrodku na projekcję trójwymiarowego obrazu. Przy ścianie naprzeciw ekranu stała zaokrąglona kanapa, podzielona opuszczanymi poręczami, w których były zamontowane urządzenia sterujące.

Pczak, rozciągnięty na kanapie, wyglądał jak brązowa plama na szarym plastiku; obserwował, jak dwaj krigeliańscy gladiatorzy przelewają nawzajem swoją krew na arenie o ruchomej podłodze. Kiedy wszedł Coogan, Pczak zmienił obraz na ekranie na stronę książki napisanej w krigeliańskim języku Zosma i przejrzał parę wierszy. Spojrzał na Coogana z wyrazem irytacji na twarzy.

— Dyrektorze Coogan — spytał. — Czy wybrał pan już następcę?

Opuścił nogi na podłogę.

— Semantyka wydaje mi się bardzo interesująca, Dyrektorze Coogan. Sztuka używania słów jako broni przemawia do mnie. Szczególnie interesuje mnie wojna psychologiczna.

Coogan spojrzął z namysłem na postać w brązowej todze. Przebiegła mu przez głowę myśl; „Jeżeli podsunę mu zapisy dotyczące wojny psychologicznej, nigdy się stąd nie wyniesie”. Wysunął część zaokrąglonej kanapy i usiadł naprzeciw Pczaka.

— Co jest najważniejszą rzeczą, jaką powinno się wiedzieć o broni? — spytał.

Generał, zmarszczył czoło.

— Oczywiście to, jak używać jej efektywnie — rzekł.

Coogan potrząsnął głową.

— To duże uogólnienie. Najważniejszą rzeczą jest znać ograniczenia broni.

Pczak otworzył szeroko oczy.

— To, czego ona n i e m o ż e dokonać. Bardzo sprytne.

— Broń psychologiczna to ogromny temat — powiedział Coogan. — Według niektórych to obosieczny miecz bez rękojeści. Jeżeli uchwyci się go wystarczająco mocno, aby powalić swego przeciwnika, jest się wyłączonym z walki jeszcze przed zadaniem ciosu.

Pczak oparł się wygodnie.

— Chyba niezupełnie pana rozumiem.

Coogan odparł:

— No cóż, i tak cała argumentacja jest tylko z pozoru słuszna. Najpierw musiałby pan zastosować metody psychologiczne wobec siebie. W miarę coraz dokładniejszego badania swojego zdrowia psychicznego, byłby pan coraz mniej zdolny do użycia tej broni przeciw komuś innemu.

Pczak powiedział zimnym tonem:

— Czy pan sugeruje, że jestem nienormalny?...

— Oczywiście, że nie — odparł Coogan. — Streszczam panu jedno z rozważań na temat wojny psychologicznej. Niektórzy uważają, że każda wojna jest nienormalna. Ale normalność jest sprawą miejsca na skali. Miejsce to jest wyznaczone przez pomiar. Aby coś zmierzyć, musimy mieć jakiś bezwzględny punkt odniesienia. Dopóki nie umówimy się co do sposobu pomiaru, nie możemy orzekać, czy ktoś jest normalny, czy nie, ani nie możemy stwierdzić, jaki przeciwnik uległby naszej broni.

Pczak szarpnął się do przodu z twardym błyskiem w szparkach oczu. Coogan zawahał się, pomyślał: „Czyżbym posunął się za daleko?” Rzekł:

— Dam panu inny przykład — wskazał kciukiem na ekran. — Właśnie oglądał pan dwóch gladiatorów, rozstrzygających spór między swoimi miastami. To miało miejsce 20 stuleci temu. Nie interesowała pana istota sporu. Analizował pan metodę walki. A kto będzie analizował pańskie metody dwadzieścia wieków od dzisiaj? Czy może będą tego kogoś interesowały kwestie, które pan rozstrzygał?

Pczak odwrócił głowę, nie spuszczać jednak oczu z Coogana.

— Zdaje się, że używa pan zręcznych słów, aby wprowadzić w mojej głowie zamęt — rzekł.

— Nie, generale — Coogan potrząsnął głową. — Nie jesteśmy tu po to, aby wprowadzać ludzi w błąd. Wierzymy w nasz Kodeks i żyjemy według niego. A ten Kodeks mówi, że musimy być posłuszni rządowi. To nie znaczy, że jesteśmy posłuszni, gdy mamy na to ochotę, lub gdy akurat się zgadzamy z rządem. My jesteśmy po prostu posłuszni. Pańskie polecenia zostaną wykonane. Nie opłaca się nam wprowadzać pana w błąd.

Pczak powiedział dziwnie monotonnym tonem:

— Wiedza to ślepy zaułek prowadzący jedynie do poczucia nieszczęścia.

Coogan zdał sobie nagle sprawę, że Pczak cytował Leadera Adamsa. Rzekł:

— My nie publikujemy wiedzy. My gromadzimy informacje. To nasze podstawowe

zadanie.

— Ale rozgłaszacie te informacje na cały wszechświat! — wybuchnął generał — i wtedy stają się one wiedzą!

— To jest zagwarantowane w Statucie, a nie w Kodeksie — odparł Coogan.

Pczak zacisnął wargi, pochylił się w stronę Coogana.

— Czy to znaczy, że jeżeli rozkażę przerwać wasze emisje, po prostu je przerwiecie? Rozumieliśmy, że jesteście gotowi stawiać nam ustawicznie opór.

— A więc pańskie informacje były nieściste — rzekł Coogan.

Generał odchylił się do tyłu, potarł brodę.

— Dobrze, przerwijcie emisje — powiedział. — Daję wam pół godziny. Chcę, żeby zamilkło wszystkie 5 000 kanałów i te specjalne też.

Coogan skłonił się, wstał.

— Jesteśmy posłuszni — rzekł.

Coogan siedział przy biurku w gabinecie dyrektora i patrzył na przeciwległą ścianę. Ekran milczał. Sprawiało to wrażenie, jak gdyby w pokoju czegoś brakowało, jakby była tam jakaś dziura w przestrzeni.

Otworzyły się drzwi i wszedł Sil-Czan.

— Posyłałeś po mnie? — zapytał.

Coogan popatrzył na niego przez chwilę i rzekł:

— Dlaczego nie wróciłeś do pokoju projekcyjnego Pczaka, jak ci kazałem?

— Bo Pczak mnie odprawił — odpowiedział krótko Sil-Czan.

— Wejdz i siadaj — powiedział Coogan. Włączył wizer biurkowy, wywołał zapisy.

— Kim są rodzice nowego Wielkiego Regenta i jakie odebrał wychowanie? — zapytał.

Po krótkiej przerwie z wizera wydobył się głos:

„Leader Adams, znany także jako Adam Yoo. Matka, Simila Yoo, urodzona na planecie Sextus C III Grupy Mundial” — Coogan spojrzał na Sil-Czana. — „Ojciec, Princeps Adams, urodzony w Grupie Herkulesa. Zabity w wypadku z transporterem podprzestrzennym na planecie uniwersyteckiej Herkules XII, gdy syn miał dziewięć lat. Młody Adams wychowany w rodzinie matki na Sextus C III. W wieku osiemnastu lat posłany do Shandu w celu kształcenia na mundialskiego przywódcę religijnego. Podczas pobytu na Shandu...”

Coogan przerwał.

— Proszę mi przysłać odpis. — Przerwał połączenie, spojrzał na Sil-Czana.

— Ciągle zły, Toris?

Sil-Czan zacisnął usta. Coogan rzekł, jakby niczego nie zauważył:

— Ojciec Adamsa został zabity w wypadku na planecie uniwersyteckiej. To mogło być podświadomą przyczyną jego nienawiści do wiedzy. — Spojrzał w zamyśleniu na Sil-Czana.

— Jesteś Mundialczykiem. Co to za grupa?

— Jeżeli Adams był tam wychowany, to jest mistykiem — rzekł Sil-Czan. Wzruszył ramionami. — Cały nasz naród to mistycy. Żadna mundialska rodzina nie pozwoliłaby, aby było inaczej. Dlatego został zabrany na wychowanie na rodzinną planetę. — Sil-Czan nagle przyłożył dłoń do brody. — Ojciec zabity w wypadku... — spojrzał na Coogana, przez niego. — To mógł być ZAARANŻOWANY wypadek. — Pochylił się do przodu, zastukał w biurko. — Powiedzmy, że ojciec sprzeciwiał się wychowaniu syna w Grupie Mundial...

— Sugerujesz, że matka mogła zaaranżować wypadek?

— Albo ona, albo jacyś jej krewni — rzekł Sil-Czan. - Takie rzeczy się zdarzały. Mundialczycy są zazdrośni o swoich. Ja sam miałem mnóstwo kłopotów starając się o pozwolenie przejścia do Biblioteki.

— A to szczęście przez kult ignorancji — rzekł Coogan. — Jaki wpływ miałby na to mistycyzm?

Sil-Czan spojrział na blat biurka zmarszczywszy czoło.

— Wierzyłby absolutnie we własne przeznaczenie. Jeżeli uważa, że musi zniszczyć Bibliotekę, aby wypełnić to przeznaczenie, to nic go nie powstrzyma.

Coogan oparł ręce na blacie biurka i ścisnął je aż do bólu.

„Posłuszeństwo!” — pomyślał — „Co za broń przeciw fanatykowi!”.

Sil-Czan powiedział:

— Gdybyśmy mogli udowodnić, że matka lub klan Yoo spowodował śmierć ojca, byłaby to pożyteczna informacja.

Coogan odparł:

— Mądry człowiek polega na swych przyjaciółach w sprawach informacji, a na sobie w sprawach decyzji.

— To aksjomat Mundialu — rzekł Sil-Czan.

— Przeczytałem to gdzieś. Ty jesteś Mundialczykiem, Toris. Wyjaśnij mi ten mistycyzm — powiedział Coogan.

— To już się prawie ze mnie starło — odparł Sil-Czan — ale spróbuję. Obraca to się wokół starożytnej formy czci przodków. Widzisz, mistycyzm to sztuka patrzenia wstecz i przekonywania siebie, że patrzysz w przód. Starożytny terrański bóg Janus był mistykiem. Patrzył jednocześnie w przód i wstecz. Wszystko, co mistyk czyni w teraźniejszości, musi znaleźć swą interpretację w przeszłości. Z kolei interpretacja...

— To bardzo subtelne — rzekł Coogan. — Prawie mi umknęło. INTERPRETACJA. Zastąpić ją WYJAŚNIENIEM i...

— ...i otrzymamy bibliotekarza — powiedział Sil-Czan.

— Wyjaśnienie to coś, co może, ale nie musi być prawdziwe. Co do interpretacji jesteśmy przekonani.

— Znowu semantyka — rzekł Sil-Czan. Na jego wargach zagościł krótko uśmiech. — Może dlatego jesteś dyrektorem.

— Ciągle przeciwko mnie? — zapytał Coogan.

Sil-Czan przestał się uśmiechać.

— To samobójstwo, Vince — pochylił się do przodu. — Jeżeli posłuchamy twoich poleceń, to kiedy ten Adams rozkaże zniszczyć Bibliotekę, będziemy musieli mu pomóc.

— Owszem, ale do tego nie dojdzie — rzekł Coogan. — Chciałbym, żebyś mi zaufał, Toris.

— Gdybyś robił coś, co miałoby choć odrobinę sensu, oczywiście, że bym ci zaufał — powiedział Sil-Czan. — Ale... — wzruszył ramionami.

— Mam dla ciebie zadanie — rzekł Coogan. — Może ono mieć sens albo i nie, ale chcę, żeby było wykonane dokładnie. Weź jakikolwiek statek i skocz na Sextusa C III w Grupie Mundial. Kiedy tam dotrzesz, chcę, żebyś udowodnił, że Klan Yoo zabił ojca Adamsa. Nie obchodzi mnie, czy to prawda, czy nie. Chcę dowodu.

— To nie ma sensu — powiedział Sil-Czan. — Jeżeli uda nam się zdyskredytować wielkiego szefa...

Wizer zabrał. Coogan uderzył w przełącznik i na ekranie pojawiła się twarz podbibliotekarza.

— Sir — wyrzucił z siebie — zamilkły programy informacyjne Biblioteki! Właśnie odebrałem połączenie z...

— Rozkazy rządu — rzekł Coogan. — Wszystko w porządku. Proszę wrócić do swych obowiązków — wygasił ekran.

Sil-Czan opierał się na biurku z zaciśniętymi pięściami.

— To znaczy, że pozwoliłeś im nas zamknąć bez najmniejszego oporu!

— Pozwól sobie przypomnieć o paru rzeczach — rzekł Coogan. — Musimy być posłuszni rządowi, aby przeżyć. Ja tu jestem dyrektorem i wydałem ci polecenie. Wykonaj je!

- A jeśli odmówię?...
  - Znajdę kogoś innego, a ty zostaniesz zamknięty.
  - Nie zostawiasz mi żadnego wyboru.
- Odwrócił się i wyszedł z gabinetu, trzasnąwszy drzwiami.

Wieczorne deszcze przeszły 24 razy nad wieżą wysoko ponad gabinetem Coogana. Zabawa w kotka i myszkę z Pczakiem przebiegała jak zwykle; generał zagłębiał się coraz bardziej w zapisy. Dwudziestego piątego dnia po południu Coogan wszedł do swego gabinetu. Pomyślał: „Pczak połknął haczyk całkowicie, ale co będzie, kiedy Adams odkryje, że Biblioteka nie została zniszczona?”

Usiadł przy biurku, odwrócił się twarzą do płyty sterowniczej i włączył mały monitor sprzężony z aparaturą umożliwiającą dyskretną kontrolę 69 poziomu. Ujrzał Pczaka w pokoju projekcyjnym, uczącego się języka Albireo jako wstępu do historii wojen tego układu podwójnego. Za Cooganem odezwało się mechaniczne brzęczenie oznajmiające, że ktoś wychodzi z windy. Pośpiesznie wygasił ekran i odwrócił się do biurka w chwili, kiedy drzwi otworzyły się z trzaskiem. Do pokoju wpadł, potykając się, Sil-Czan. Ubranie miał podarte, a jedno ramię obwiązane brudnym bandażem.

Mundialczyk zatoczył się przez pokój, chwytając się kurczowo krawędzi biurka Coogana.

- Schowaj mnie! Szybko! — powiedział.

Coogan rzucił się do płyty, odsunął ją i wskazał ręką powstały otwór. Sil-Czan wpadł do środka, Coogan zasunął płytę i wrócił do biurka. Aparat ostrzegawczy ponownie dał sygnał. Dwaj uzbrojeni strażnicy wpadli do pokoju z blasterami w rękach.

- Gdzie on jest?! — zażądał pierwszy z nich.

- Gdzie jest kto? — spytał Coogan. Wyrównał stos papierów na biurku.

- Ten facet, który wyskoczył z łodzi ratunkowej — powiedział strażnik.

— Nie wiem, o czym mówisz — rzekł Coogan — ale widzę, że będę musiał powiedzieć generałowi Pczakowi, jak bezceremonialnie wdarliście się do mego gabinetu.

Strażnik opuścił blaster i cofnął się o krok.

— To nie będzie konieczne, sir — powiedział. — Widzimy, że go tu nie ma. Prawdopodobnie zjechał na niższy poziom. Proszę wybaczyć, że przeszkodziliśmy panu.

Wycofali się z pokoju.

Coogan odczekał, aż z aparatury ostrzegawczej w korytarzu nadejdzie potwierdzenie, że mężczyźni istotnie oddalili się, po czym otworzył płytę. Sil-Czan leżał bezwładnie na podłodze. Coogan pochyliwszy się potrząsnął nim.

- Toris! Co się stało?

Sil-Czan poruszył się, spojrzał w górę na Coogana, nie rozpoznając go z początku.

- Uch... Vince...

Dyrektor objął Sil-Czana ramieniem i pomógł mu wstać.

- Spokojnie. Opowiedz mi, co się stało.

— Zawaliłem sprawę — powiedział Sil-Czan. — Klan Yoo zwęszył, o co mi chodziło. Kazali Adamsowi wydać rozkaz... aresztowania. Straciłem statek. Wydostałem się w łodzi ratunkowej. Wylądowałem... Druga strona planety... Straże Pczaka... próbowali zatrzymać... — głowa mu opadła.

Coogan przyłożył rękę do serca mężczyzny, wyczuł jego równe bicie. Opuścił delikatnie Sil-Czana z powrotem na podłogę, wyszedł i wezwał robota szpitalnego. Sil-Czan odzyskał przytomność, kiedy robot go rejestrował.

- Przepraszam, że tak cię zawiodłem — rzekł. — Ja...

Na biurku dyrektora zabrzączał wizer przekazyjący wiadomości. Coogan nacisnął przycisk, przeczytał wiadomość, wygasił ekran i zwrócił się do Sil-Czana.



— Będziesz musiał być opatrzony tutaj. Nie mogę teraz ryzykować wzięcia cię przez korytarze.

Przy drzwiach zabrzączał aparat ostrzegawczy. Coogan wepchnął Sil-Czana za płytę i zasunął ją. Pczak wszedł do gabinetu z blasterem w ręku, mając za sobą swoich dwóch strażników. Generał rzucił okiem na robota szpitalnego, po czym przeniósł wzrok na Coogana.

— Gdzie jest człowiek, do którego został wezwany ten robot?

Strażnik, który wszedł ostatni, zamknął drzwi i wyciągnął blaster.

— Mów albo zginiesz na miejscu — powiedział Pczak.

„Próba sił”, pomyślał Coogan. Rzekł:

— Te roboty szpitalne to szczególny rodzaj istot, generale. Nie mają pełnego podstawowego zabezpieczenia, ponieważ czasami muszą wybierać między ratowaniem jednej osoby i skazaniem na śmierć innej. Mogę powiedzieć temu robotowi, że jeśli stanie mi się jakakolwiek krzywda, będzie musiał dać wam wszystkim śmiertelną dawkę jadowitej trucizny, jaką ma w swoim wysięgniku strzykawkowym. Poinformowałem robota, że to uratuje moje życie. Naturalnie jest lojalny wobec Biblioteki i zrobi dokładnie to, co właśnie mu powiedziałem.

Rysy Pczaka stwardniały. Podniósł blaster lekko do góry.

— Połóżcie blastery na moim biurku, chyba że chcecie umrzeć w męczarniach — powiedział Coogan.

— Nie zrobię tego — rzekł Pczak. — Co zamierzasz teraz uczynić?

— Wasze blastery mogą mnie zabić — odparł Coogan — ale nie powstrzymają robota przed wykonaniem mego polecenia.

Palec Pczaka zaczął naciskać spust.

— A więc dajmy mu...

Ostre „blat!” wystrzelonej energii wypełniło pokój. Pczak zwiotczał. Strażnik stojący za nim trwożnie obszedł robota i położył blaster na biurku Coogana. Broń lekko pachniała ozonem od wystrzału, który zabił Pczaka.

— Odwołaj to — powiedział strażnik patrząc na robota.

Coogan spojrział na drugiego strażnika.

— Ty też — powiedział;

Strażnik obszedł robota z tyłu i położył swoją broń na biurku. Coogan wziął do ręki jeden z blasterów. Miał obce uczucie trzymając go w dłoni.

— Nie wypuścisz go teraz na nas, prawda? — spytał drugi strażnik. Wydawało się, że jest niezdolny do oderwania wzroku od robota.

Coogan spojrział na żukowaty kształt mechanizmu z płaskimi wyściełanymi wysięgnikami i zaczepami z tyłu do niesienia noszy. Zastanawiał się co zrobiliby ci dwaj, gdyby powiedział im to, co Pczak niewątpliwie wiedział: że robot nie mógł podjąć otwartego działania przeciw człowiekowi, że jego słowa były kłamstwem.

Pierwszy strażnik rzekł:

— Proszę posłuchać, jesteśmy teraz po pańskiej stronie. Wszystko panu powiemy. Przed samym wylądowaniem tutaj Pczak otrzymał wiadomość, że Leader Adams przybywa i...

— Adams! — wyrzucił Coogan, Pomyślał: „Adams przybywa! Jak to wykorzystać?” Spojrział na strażnika.

— Byłeś z Pczakiem, kiedy tu przybył pierwszego dnia, prawda?

— Należałem do jego ochrony osobistej.

Coogan zgrał drugi blaster z biurka, cofnął się.

— W porządku. Kiedy Adams wyląduje, włączysz ten wizer i powiesz mu, że Pczak chce się z nim widzieć tu na dole. Mając Adamsa jako zakładnika mogę zmusić resztę do złożenia broni.

— Ale... — powiedział strażnik.

— Jeden fałszywy ruch, a wypuszczę na was tego robota — rzekł Coogan. Było wyraźnie widać, jak strażnikowi poruszyła się grdyka.

— Dobrze - powiedział — tylko nie rozumiem, jak może kazać się pan poddać całemu rządowi jedynie dlatego, że...

— Więc przestań myśleć — przerwał Coogan. — Po prostu sprowadź tu Adamsa. Wycofał się pod tablicę sterującą i czekał.

— Nie rozumiem — powiedział Sil-Czan.

Mundialczyk siedział na krześle przy biurku naprzeciw Coogana. Nowy mundur Biblioteki był napięty na jego zabandażowanym ramieniu.

— Wbijasz nam do głowy, że musimy być posłuszni. Mówisz, że nie możemy postępować niezgodnie z Kodeksem. A potem w ostatniej chwili robisz wolnę, grozisz całej załodze blasterem i wtrącasz ją do szpitala na oddział ciężkich przypadków.

— Nie sędzę, żeby mogli się stamtąd wydostać — rzekł Coogan.

— Nie z tymi wszystkimi pilnującymi ich strażami — powiedział Sil-Czan, — ale to w dalszym ciągu jest nieposłuszeństwo i postępowanie przeciw Kodeksowi — podniósł do góry rękę skierowaną otwartą dłonią w stronę Coogana. — Nie, żeby miał coś przeciw temu, rozumiesz. O to przez cały czas mi chodziło.

— I tu właśnie robisz błąd — rzekł Coogan. — Ludzie byli gotowi dokładnie ignorować Bibliotekę i jej głupie programy tak długo, jak tylko te informacje były dostępne. I wtedy programy zostały wstrzymane na polecenie rządu.

— Ale... — Sil-Czan potrząsnął głową.

— Jest teraz inny, nowy rząd — rzekł Coogan. — Leader Adams został wylany, ponieważ powiedział ludziom, że nie mogli czegoś mieć. To zła polityka dla mężów stanu. Oni utrzymują się na swoich urządach przez mówienie ludziom, że mogą mieć różne rzeczy.

Sil-Czan rzekł:

— No dobrze, a gdzie...

— Zaraz potem, jak tu wpadłeś — powiedział Coogan — otrzymałem od nowego rządu polecenie, które gotów byłem z największą ochotą wykonać. Mówiło ono, że Leader Adams jest uciekinierem i każdy, kto go spotkał, był upoważniony do aresztowania go i zatrzymania do czasu procesu. — Coogan podniósł się i podszedł do Sil-Czana, który także wstał. — Tak więc, jak widzisz — zakończył — zrobiłem to wszystko będąc posłuszny rządowi.

Mundialczyk spojrział przez biurko na Coogana, naraz uśmiechnął się i podszedł do ściany sterującej.

— A tobie udało się złapać mnie na taką sztuczkę z tą dźwignią — położył rękę na dźwigni, którą Coogan wymusił jego uległość.

Coogan kopniakiem odrzucił rękę Sil-Czana, nim ten zdążył nacisnąć dźwignię. Sil-Czan cofnął się potrząsając posiniaczoną ręką.

— Au! — spojrział na Coogana — co na miłość...

Dyrektor uruchomił dźwignię umieszczoną wyżej na ścianie i płyta wykonała ćwierć obrotu. Wpadł za ścianę i zaczął wrywać kable z ciągu niżej położonych połączeń. Wreszcie wyszedł. Na jego czole widniały krople potu.

Sil-Czan patrzył na dźwignię, której dotknął.

— O, nie! Ty nie podłączyłeś tego RZECZYWIŚCIE do grawitronów.

Coogan skinął głową w milczeniu. Szeroko otwierając oczy Sil-Czan wycofał się do biurka i usiadł na nim.

— Więc nie byłeś pewny posłuszeństwa...

— Nie - warknął Coogan.

Sil-Czan uśmiechnął się.

—No, to jest informacja, która powinna być coś warta — pokazał w uśmiechu zęby. —

Ile jest warte moje milczenie?

Dyrektor powoli wyprostował ramiona. Zwilżył usta językiem.

— Powiem ci, Toris. Ponieważ i tak miałeś dostać to stanowisko, powiem ci, ile to jest dla mnie warte. — Coogan uśmiechnął się powolnym, mądrym uśmiechem, na który Sil-Czan zmrużył oczy. — Jesteś moim następcą.

## II

Ile razy Sooma Sil-Czan chodził dolnymi korytarzami Planety Bibliotecznej, lubił rozmyślać o swych przodkach przemierzających te starożytne przestrzenie. Historia rodzinna była ulubionym przedmiotem jego studiów i czuł, że gruntownie znał wszystkich tych ludzi, ich porażki, ich zwycięstwa — wszystko było zakodowane w archiwalnych zapisach przez te tysiące lat. Jego dziadek w 300 pokoleniu, Toris, szedł tym korytarzem każdego dnia tego dawno minionego życia.

Roboty służbowe ustąpiły mu z drogi i Sooma wiedział, że przynajmniej część niektórych z nich ustępowały z drogi tamtemu innemu Sil-Czanowi. Roboty były wytwarzane starannie, aby długo służyły. Był jeden robot w jego własnym biurze, w Głównej Księgowni Archiwalnej, który obywatel się bez naprawy przez 21 ludzkich pokoleń.

Wachlarzowate drzwi gabinetu dyrektora otworzyły się przed nim. Sooma Sil-Czan wszedł z pewną siebie miną, mającą oznaczać najwyższe kompetencje. Nie było niczego, co by mogło wskazywać, dlaczego Dyrektor Patterson Czung wezwał Głównego Księgowego. Była to prawdopodobnie jakaś prosta sprawa, ale Czung był znany z nudnego czepiania się szczegółów. Dyrektor mógł godzinami mówić bez związku, podczas gdy wszystko wokół niego walczyło ze znużeniem.

Sil-Czan wszedł do gabinetu dyrektora i usłyszał, jak wachlarzowate drzwi się zasklepiają.

Patterson Czung siedział za swym błyszczącym biurkiem jak jakaś wiekowa małpa. Jego charakterystyczne zmarszczenie było zredukowane do zmrużenia brązowych oczu. Kosmyki czarnych włosów wiły się na jego prawie łysej głowie, a jego cienkie wargi były ściągnięte w wąską linię, której wyrazu Sil-Czan nie umiał zinterpretować. Dezaprobata?

Zanim Sil-Czan usiadł naprzeciw niego, Czung już zaczął mówić:

— Straszny problem, Sooma, straszny.

Sil-Czan ostrożnie opuścił się na wyściełany fotel. Nigdy przedtem nie słyszał takiego tonu u Czunga. Szybko ogarnął wzrokiem gabinet Dyrektora, zastanawiając się, czy było w nim potwierdzenie tego „straszego problemu”. Ściany ogniskujące trójwymiarowe projekcje były wygaszone. Były jednolitą srebrną szarością. Jedyne barwne akcenty w gabinecie widniały za Dyrektorem — niski stolik zapchany ciekawostkami, a każda z nich była pamiątką z jakiegoś statku kolekcjonerskiego dalekiego zasięgu z planety Chomików. Była tam złota statuetka od Poszukiwaczy z Naos, cierń w kształcie strzały z Jacun, mała kupka czerwonych szepczących nasion z Atikan w swoich rytualnych miseczkach z błyszczącego purpurowego włókna... a nawet eridański ognisty zwój z płomieliterami...

— Straszne — powtórzył Czung. — Zostaniemy zniszczeni w przeciągu sześciu miesięcy, jeżeli się z tym nie uporamy. Po tych wszystkich tysiącach lat... coś takiego!

Sil-Czan, obyty z przesadnymi sformułowaniami Czunga równie dobrze jak z jego zdolnością znużenia nawet najmniej błyskotliwych pracowników Biblioteki, chciał się uśmiechnąć, ale było coś w zachowaniu Czunga, coś nieuchwytnie dziwnego.

Czung pochylił się do przodu i przyjrzał się uważnie swemu asystentowi. Sil-Czan był

rosłym mężczyzną o kwadratowej, dość przystojnej twarzy i zielonych oczach pod brwiami tak jasnymi, że aż niemal niewidocznymi. Jego włosy, tego samego koloru bladej kości słoniowej, były krótko przystrzyżone według nowej mody panującej wśród młodszych archiwistów.

Umysł dyrektora zaczęły ogarniać wątpliwości. „Czy to może być człowiek, od którego zależy nasze przetrwanie?”. Małpie nozdrza Czunga rozszerzyły się na krótko. Dyrektor szeroko otworzył oczy. Wziął głęboki wdech i uspokoił się. Nie mogło być odwrotu.

— Sooma, mój młody przyjacielu, możesz być naszą jedyną nadzieją — rzekł.

— Co? Ja nie...

— Oczywiście, że nie. Ale ci rządowi księgowi, którzy...

— Te szakale, którym pomagałem przeglądać nasze akta?!

— Ci księgowi — poprawił go Czung.

— Czy zrobiłem coś złego? To znaczy...

— Nie! — Czung przeciągnął ręką po oczach. — Muszę być posłuszny, a jednak nie mogę.

Teraz dopiero Sil-Czan dostrzegł źródło niepokoju Czunga. Archiwa Galaktyczne — ta Planeta Biblioteczna — istniały tysiące lat na podstawie absolutnego nakazu posłuszeństwa swych pracowników względem rządu — obojętnie jakiego rządu. Księgowi obecnego rządu spadli na nich dwa tygodnie temu, kpiąc z Chomików, żądając tego lub tamtego zapisu. Coś w związku z tym wydarzeniem stworzyło dylemat dla Czunga.

— W czym leży problem? — zapytał Sil-Czan.

— Ci księgowi przybyli z monitora wojennego zaparkowanego na orbicie nad nami. Księgowi nie potrzebują monitora wojennego.

Sil-Czan wpatrywał się w Dyrektora w milczeniu. „Czy o to chodziło? Czy to mogło być przyczyną zmartwienia Czunga?”. Sil-Czan pomyślał o ogromnym monitorze wojennym, krążącym nad podobną do parku powierzchnią tej unikalnej planety. Tam na górze był spokój i otwarte przestrzenie, lasy, jeziora i rzeki — a nawet kilka niskich gór. Ale tu w dole, właściwie aż do samego jądra planety, istniał cały ul pełen magazynów i kronikarskiej działalności. Statki kolekcjonerskie Biblioteki wyruszały i wracały z informacjami i ciekawostkami. System przypadkowej selekcji wybierał z tego całego nagromadzonego materiału i nadawał tysiące programów dziennie na cały znany wszechświat - trochę tego, trochę tamtego, czasem coś interesującego, ale najczęściej nudnego... tak nudnego jak stary Czung.

— Nie wydaje mi się to aż tak strasznym problemem — rzekł Sil-Czan.

— Jest jeszcze coś. Wierz mi, jest jeszcze coś!

Czung zastanawiał się, jak ma przedstawić problem młodemu człowiekowi i dalej utrzymać Sil-Czana w posłuszeństwie względem Kodeksu. To był tak złożony problem...

Sil-Czan westchnął. Lepszy od niego rezygnowali z wyciągnięcia od Czunga istoty sprawy. Zawsze wokół niej kluczył. A jeśli obecność monitora wojennego to było wszystko...

Z kolei myśli Czunga pobiegły do rządowych księgowych siedzących w komórkach tej planety-ula, gorliwych ludzi ślęczących nad archiwalnymi zapisami, zdecydowanych obcinać budżet aż do samoistnego upadku tej starożytnej instytucji. Ci ludzie byli na tropie rzeczy, jakich potrzebowali.

— Zmuszony jestem przypomnieć ci o naszym Kodeksie — rzekł Czung. — Posłuszeństwo rządowi. Ta jedyna zasada utrzymała nas przy życiu przez kryzys za kryzysem, przez więcej niż 5 000 rządów.

— Kodeks, tak. Wiedziałem, że pan...

— Jesteśmy tu, aby zachować teraźniejszość dla przyszłości — jakkolwiek teraźniejszość dla jakiegokolwiek przyszłości. Gdziekolwiek ciekawość naszych kolekcjonerów ich prowadzi, to właśnie przechowujemy.

— Dobrze! Co się stało?!

— Chociaż ten kryzys może równie dobrze być naszym ostatnim, Sooma, masz nie robić niczego, nie myśleć niczego i nie mówić niczego, co mogłoby nawet w najmniejszym stopniu być zinterpretowane jako nieposłuszeństwo względem rządu.

— Zgoda, zgoda!

— Cierpliwości, młody przyjacielu. Cierpliwości.

Czung znowu przykrył oczy dłonią. „I to jest narzędzie, od którego zależę. Ten bezdzietny... kawaler... tak zajęty swoją karierą, że nie ma czasu na dom i rodzinę... żadnych myśli o długim trwaniu, które jest przetrwaniem nas wszystkich... Ten młodzieniec... Ten nieopierzony... Nie ma jeszcze 50 lat...”.

— Czy pan źle się czuje, sir? — spytał Sil-Czan.

Czung opuścił rękę, otworzył oczy.

— Nie. Oczywiście miałeś rację, nazywając tych księgowych szakalami. Pożrą wszystko. Chcą nas zniszczyć.

— Tylko dlatego, że monitor wojenny...

— Chcą nas zniszczyć, zapewniam cię.

— Dlaczego pan tak sądzi?

Dyrektor Czung spojrział nad głową Sil-Czana na puste miejsce nad wachlarzowymi drzwiami gabinetu. „Taki niecierpliw! Kiedy ja byłem w jego wieku, byłem już żonaty i miałem dwoje dzieci. Jak Zapisy mogą wskazywać na Sil-Czana jako na mojego najbardziej logicznego następcę? Człowiek na tym stanowisku potrzebuje rodzinnej stabilizacji.”

— Nie ma najmniejszej wątpliwości co do mojej oceny grożącego nam niebezpieczeństwa — rzekł Czung.

„Stary, wygadany głupiec”. Sil-Czan przesunął się na brzeg fotela:

—Ale jak...

—Jeden z naszych wrywkowych programów nadał ponownie starożytną sztukę z okresu Trosair. Był to humorystyczny pokaz, w gruncie rzeczy bardzo zabawny — farsa. Wyśmiewał się z wymyślnego rządu, nazywającego się Enklawa Myrmidiona.

Sil-Czan poczuł, jak wysychają mu usta.

— Myrmidiona...

— Rzeczywiście — kosmiczny żart. Zbieg okoliczności? Powiedz to naszemu rządowi. Powiedz to Najwyższemu Imperatorowi Hobartowi z Myrmid. Powiedz to Enklawie Myrmidiona.

— To musi być zbieg okoliczności — rzekł Sil-Czan. — Pokażemy im, jak działa system przypadkowej selekcji. Nikt się do tego nie miesza. Damy im...

— Ci księgowi przybyli prosto od Hobarta z Myrmid. Nasza własna sekcja Zapisów, Centralny Komputer — wszyscy są zgodni co do tego, że księgowi mają rozkaz nas zniszczyć.

— A więc będziemy walczyć!

— Nie będziemy walczyć! — Czung usiadł głębiej w fotelu oddychając ciężko — a przynajmniej nie będziemy stosować przemocy.

— To wyślijmy statki kolekcjonerskie, żeby zdobyły pomoc dla...

— Księgowi już zarekwirowali każdy gram paliwa napędowego znajdującego się na planecie. Nasze statki są unieruchomione.

— Nie mogą tego zrobić. Będziemy...

— Oni to rząd — przypomniał mu Czung — a my słuchamy rządu...

Sil-Czan zapatrzył się na pamiątki za Dyrektorem. Nie będzie już statków kolekcjonerskich wyruszających na wyprawy? Nie będzie już nowych nabytków Archiwów?...

— Przypuszczam, że nasz sędziwy wiek jest przeciw nam — powiedział Czung. — Tak długo istniejemy, że nie możemy uniknąć problemu... problemu zbiegu okoliczności.

— Może gdybyśmy wystąpili z...

— Ba! — Czung spojrział gniewnie na swego podwładnego. — Będąc wydrażoną kulą przestrzeni magazynowej pełną zapisów i wytworów rąk! Jesteśmy całkowicie zależni od Subsydiów Galaktyki. Nie mamy niczego, czego moglibyśmy użyć dla utrzymania siebie i napędzania naszych statków kolekcjonerskich. Mamy zasoby tylko jednego rodzaju — zmagazynowaną wiedzę i informację. Jesteśmy pamięcią ludzkości. Nagle odkryto, że pewne wspomnienia mogą być niebezpieczne.

— Co możemy...

— Nie m y, ale t y — Czung wycelował w niego palec. — Ty możesz przewidzieć posunięcia tego wścibskiego personelu księgowego. Musisz uzasadnić każdy wydatek, każdy kredyt, jaki...

— Sir! Nic, co zrobię, nie pomoże nam, jeśli oni nie chcą przyjąć naszych argumentów.

Czung wciągnął głęboko powietrze, odetchnął powoli.

— Tak, oczywiście. Ale rządowi księgowi badają Saldo Parnbakerów. Chcą...

— Saldo Parnbakerów? — Sil-Czan spojrział na Dyrektora ze zdumieniem.

— Tak, Saldo Parnbakerów. Wezwałem cię, ponieważ sprzeczności są ogromne. Chcę, żebyś...

— Nigdy nie słyszałem o Saldzie Parnbakerów.

Czung popatrzył na niego.

— Ale ty jesteś Głównym Księgowym!

— Wiem, sir, ale..

— Zaczekaj.

Czung sięgnął do rynny wiadomości za biurkiem, wyciągnął gruby plik wewnątrzbibliotecznych mikrosów i włożył je do odtwarzacza nad rynną.

— Poprosiłem o właściwy materiał, kiedy... To znaczy, nie chciałem tego odtwarzać na żadnym z naszych wewnętrznych obwodów.

— Jeżeli to taka delikatna sprawa, to rozumiem tę ostrożność, sir. Ale to całkiem duży plik. Wszystko to na jednym koncie?

— To jest wyciąg, Sooma. Wyciąg!

— Ale dlaczego... to znaczy, jeżeli mam pilnować tych księgowych i... sir, ja nigdy nie słyszałem o tym Saldzie Parnbakerów. Przysięgam. Co to takiego?

Czung skinął głową.

— Podejrzewałem to. Rozumiesz, że nie poddaję w wątpliwość twoich kwalifikacji, ale byłem oczywiście zaniepokojony działalnością tych... szakali, jak mówisz. Pomyślałem, że zajrzę do większych wydatków, znajduję...

— Właśnie to robię, sir. Kazałem moim ludziom ślęczeć nad wszystkim.

— Niezupełnie nad wszystkim. Widzisz, zażądałem zapisów wszystkich długotrwałych dużych wydatków, które nie były przeglądane lub uaktualniane od kilku stuleci.

Czung chrząknął.

— I?

— Ja... ee... przekazałem wstępne przeglądanie pomocnikowi. Przez kilka dni jego uwaga była rozproszona przez koszty systemu submikroewidencjonowania. Wszyscy wiemy, że jest to sprawa mająca bezwzględne pierwszeństwo, jeżeli chcemy mieć nadzieję na jakiegokolwiek duże oszczędności w ... O, Boże. Żle to wyjaśniam.

— Co znalazł pański pomocnik?

— Saldo Parnbakerów. Od trzech dni nie otrzymujemy nic poza materiałami na temat tego Salda Parnbakerów.

— Jednego salda?

— Dlatego byłem taki pewien, że mój Główny Księgowy będzie wiedział, co...

Sil-Czan usiadł głębiej w fotelu.

— To niemożliwe! Nie ma w naszych zapisach tak wielkiego konta!

— Obawiam się, że jest przynajmniej jedno takie konto. Materiały na jego temat ciągle napływają. Ostatni bieżący rachunek wykazał 18 miliardów stellarów salda ujemnego na koncie Parnbakerów w pierwszych siedmiu miesiącach tego roku budżetowego.

Sil-Czan otworzył usta i zamknął je bez słowa.

— Oczywiście, natychmiast złożę rezygnację. Nie mogę...

— Och, nie bądź głupcem! A przynajmniej nie aż takim zupełnym głupcem!

— Sir, nie rozumiem, jak pan zdobył te zapisy, skoro my w Księgowości nigdy o nich nie słyszeliśmy.

— Dzięki sposobowi, w jakim sformułowałem pytanie. Jak wy żądacie zapisów każdego roku?

— Rachunek do uaktualnienia, oczywiście.

— A ja poprosiłem o w s z y s t k i e duże wydatki.

Sil-Czan poczerwieniał.

— Nie wiń siebie, chłopcze — rzekł Czung. — Znam procedurę. Jak mógłbyś podejrzewać takie...

— Nawet wtedy nasze podwójne kontrole i procedury księgowania wrywkowego... Wszystkie tak wielkie wydatki muszą być uwzględnione w budżetach!

— To było oznaczone jako SP. Czy coś ci to przypomina?

— Straty Poniesione — budżet paliwowy! Zepsute paliwo. Rozumiem! To zostało...

— ... wrzucone do kosztów paliwa. Były duże, ale takie są zawsze i...

— Czy Centralny Komputer nie wyjaśnia tego Salda Parnbakerów?

Czung obrócił się do mikroprojektora na biurku, pstryknął przełącznikiem i odczytał projekcję.

— Odsyła do zysków Parnbakerów, do salda przeciwwagi Parnbakerów — to wynosi 1 milion 608 tysięcy stellarów rocznie tylko na utrzymanie robotów — a jest jeszcze kierowanie przesyłek Parnbakerów i... — Czung osuszył czoło. — Samo wyliczenie podgrup tego salda zajmuje 42 minuty. Nie będę tego robił.

Sil-Czan przełknął ślinę, mając zupełnie wyschnięte gardło.

— 42 minuty samo... Czy pan powiedział s a l d o p r z e c i w w a g i?

— Tak.

— Musi to być z pewnością jakiś głupi błąd, sir. Jak mogłoby...

— Nie ma błędu. Kiedy zobaczyłem saldo przeciwwagi, zacząłem podejrzewać, że... no... Musisz zrozumieć, Sooma, że pewne sprawy są zarezerwowane tylko dla Dyrektora. Mamy tu do czynienia z kwestią legalności. Wygląda na to, że nie mamy prawa uaktualniać tego salda.

— Ale te wszystkie pieniądze, sir! Od jak dawna nie badano tego salda pod względem możliwych...

— 5 002 Standardowe Lata Współczesne, 6029 według starej rachuby.

Sil-Czan poczuł ucisk w piersiach. Poczuł się nagle stary i rozbity.

— Wiem, sir, że nigdy nie byliśmy znani z oszczędności, ale...

Czung uciszył go skinieniem ręki.

— Zaryzykuję otwarte kanały.

Pstryknął przełącznikiem obok projektora biurkowego, wskazał włączony mikrofon Komputera Centralnego.

— Sooma, jak byś sformułował pytanie, aby otrzymać możliwie zwięzłą odpowiedź? 74, 412 % zapasowych i podstawowych zespołów logicznych jest już zajętych pierwszą fazą tego Salda Parnbakerów. Musisz zadać pytanie absorbujące kanał podstawowy bez wyższego oscylatora.

Sil-Czan skinął głową, przeciągnął ręką po płowej szczecinie swych włosów.

— Komputer?

— Komputer rozpoznaje Sil-Czana — metaliczny głos miał bezosobowe i łagodne brzmienie, które wydało się Sil-Czaniowi nietypowe. Może była to własna regulacja gabinetu Czunga.

— Zadaję pytanie najwyższego uprzywilejowania — rzekł Sil-Czan. — To pytanie ma pierwszeństwo przed wszelkimi innymi sprawami obecnie badanymi. Podaj nam podstawowe, zwięzłe wyjaśnienie wymagające tylko kilku minut: co to jest to Saldo Parnbakerów?

Z głośnika dobyło się najpierw chrapliwe brzęczenie, potem trzaski i stuki, w końcu metaliczny głos:

— Informacja dostępna tylko dla Dyrektora.

— Podaj tę informację — rozkazał Czung.

— Komputer rozpoznaje Dyrektora Czunga — powiedział metaliczny głos. — Czy Dyrektor Czung życzy sobie wyjawienia tej informacji osobie z nim przebywającej?

— Tak!

- Przyjęto i wciągnięto do akt. Wolna Wyspa Parnbaker jest masą lądową o przybliżonej długości 274km i szerokości 158 km. Jest ona zlokalizowana na powierzchni planety ok. 400 km od wspólnoty Masayan, położonej na brzegu Morza Kontroli Klimatycznej nr 15. Wyspa...

— Wyspa? — przerwał Sil-Czan.

— Masa lądowa całkowicie otoczona wodą — powiedział Komputer.

— Wiem, co to jest wyspa! — rzekł ze złością Sil-Czan. — Po prostu zaskoczyło mnie to.

— Komputer nie zawsze potrafi rozróżnić między zaskoczeniem a potrzebą informacji — odparł Komputer.

— Dalej — rozkazał Czung.

— Wolna Wyspa Parnbaker jest autonomicznym obszarem na mocy układu i licznych precedensowych decyzji w Prawie Gwiezdnym, które miałyby zastosowanie w obecnych warunkach. Pod wyspą pierwotna własność o przybliżonym kształcie stożka, należąca do obszaru autonomicznego, sięga do trzystu km od jądra planety. Istnieje także ograniczenie nałożone na przestrzeń powietrzną, która...

— Pod wyspą? — zapytał Sil-Czan.

Czung skinął głową.

Komputer trzasnął, a potem:

— Zaskoczenie czy pytanie?

— Pytanie — rzekł Sil-Czan.

— Komputer słucha. Te 300 km pod skierowanym w dół występem zostało odstąpione Archiwom Galaktycznym, kiedy ta planeta stanowiła Autonomię Terrańską. To było w czasie instalacji urządzenia grawitronicznego. Jego zainstalowanie nastąpiło przed samą redukcją masy planety, co stworzyło miejsce na magazynowanie...

— Ale co rozumiesz przez własność w formie stożka? — zażądał Sil-Czan.

— Tę część Starej Terry, która leży w autonomicznych granicach Wolnej Wyspy i sięga w kierunku rzeczywistego jądra tej planety.

Sil-Czan spojrział ponad biurkiem na Czunga.

— Czy Komputer ma na myśli... Ziemię?

Komputer odpowiedział przed Czungiem:

— Jest to najczęściej spotykany desygnat, ale w rzeczywistości większą jej część stanowią zestalone magmy.

— Więc ta przeciwwaga... — rzekł Sil-Czan.

— Przeciwwaga — wyjaśnił Komputer — jest potrzebna do zrównowżenia ogromnej różnicy wagi wytworzonej na równikowym pasie południowym przez masę autonomiczną. Gdyby dopuszczono, aby ta waga zmieniła oś planety i...



Sil-Czan przerwał:

— To urządzenie mówi, że pod jakąś wyspą jest gigantyczna masa Starej Terry zstępująca prawie do jądra planety.

— Prawidłowe sformułowanie — rzekł Komputer.

— Jak mogliśmy przeoczyć coś takiego? — zapytał Sil-Czan. — To musi być potworne. Przecież... — przerwał i potrząsnął głową.

Komputer rzekł:

— Czy Sil-Czan życzy sobie wyjaśnienia opartego na psychologii, czy na prawdopodobieństwach wynikających z fizycznych ograniczeń...

— Czy na tej wyspie są ludzie? — spytał Sil-Czan.

Komputer odparł:

— Wyspa jest zamieszkała przez Klan Parnbaker i spokrewnione grupy — Cooganów, Atvardów...

— Jest nawet na wyspie gałąź Czungów — wtrącił Dyrektor.

Sil-Czan zagryzł wargi. Jak wiele naprawdę wiedział Dyrektor?

— Czy życzy pan sobie kontynuowanie listy? — zapytał Komputer.

— Jak są urzędowni? — odpowiedział pytaniem Sil-Czan.

— Dziedziczny władca Wolnej Wyspy, zawsze Parnbaker z nazwiska i krwi, nazywa się Paternomer. Władza Paternomera jest ograniczona kilkoma czynnikami — Radą Starszych, czasem nazywaną „odwołaniem do Plebsu” oraz różnymi względami religijnymi. AutoczuJNI Komputera nie sięgają do obszaru autonomicznego, ale przez wieki nagromadziły się różne dowody. Obecna populacja, utrzymująca się na poziomie ok. trzech tysięcy osób, zdaje się pracować dla wspólnej idyllicznej wizji...

— Mówiłeś o względach religijnych — przerwał Sil-Czan.

— Mieszkańcy składają hołd „Kamiennej Księdze”. Jest to pochodzące ze Średniej Ery tłumaczenie starożytnego dzieła ze Starej Terry, którego treść obraca się wokół przywódcy nazywanego „Skałą”.

— Znam to — powiedział Sil-Czan. — Nie rozumiem jednak, jak mogliśmy przeoczyć tę rzecz, skoro wbija się ona w planetę w taki sposób.

Komputer potraktował to jako jeszcze jedno pytanie.

— Większość kontroli jest automatyczna. Wygląd fizyczny wewnętrznych ścian otaczających dolny występ Wolnej Wyspy nie różni się od normalnych ścian Archiwum. Loty nad wyspą zostały zakazane w pierwotnym układzie. Dlatego też wszystkie korytarze powietrzne omijają Wolną Wyspę. Są też inne, głębsze i psychologiczne czynniki, które zagłębiają się w...

— Zmusimy Parnbakerów do odstąpienia ich cholernego występu i skończmy z tym — rzekł Sil-Czan. — Nie możemy przeciwstawić się pędowi rządu do oszczędności, kiedy obciąża nas coś takiego. Jeśli ci rządowi księgowi kiedykolwiek to wywęszą, to jesteśmy...

— Nie może być mowy o odstąpieniu — rzekł Czung,

— Ciagle jest pan Dyrektorem — powiedział Sil-Czan. — Biblioteka jest planetą, planeta jest Biblioteką. Pan tu jest szefem.

— W pierwotnym układzie zgodzono się na pewne usługi i kredyty — rzekł Czung. — Komputer, wyjaśnij płatności i usługi.

— Usługi są kontynuowane wraz z uaktualnieniem wewnętrznych kosztów. Kredyty dla Parnbakerów ciągle narastają, a nie były uaktualniane od ponad czterech tysięcy okresów.

Sil-Czan zapytał chrapliwie:

— Ile im jesteśmy winni?

— Cała suma jest liczbą niezrozumiałą — rzekł Komputer. — Taka ilość pieniędzy nie istnieje w znanym wszechświecie.

— Czy mogliby zażądać zapłaty? — wyszeptał Sil-Czan.

— To byłoby zgodne z prawem — odpowiedział Komputer.  
— A więc oni są naszymi właścicielami!  
— Technicznie to prawda — odparł Komputer. — Jednak Klan Parnbakerów nie podjął żadnego takiego działania, ani nic takiego się nie przewiduje.  
— Czy jest jakiś legalny sposób na przejęcie tej wyspy lub jej dolnego występu od Parnbakerów? — zapytał Sil-Czan.  
Czung uśmiechnął się i przymknął oczy.  
Komputer wydawał rytmiczne trzaski przez około minutę, wreszcie się odezwał:  
— Nie można przejąć wyspy legalnie. Jest możliwy pewien kompromis. Należy wziąć pod uwagę fakt, że Parnbakerowie nie wiedzą o swojej legalnej pozycji. Układ został zawarty bardzo dawno temu. Najwyraźniej prowadzą oni na wyspie prymitywne życie. Nasuwa się jedno możliwe podejście: Wolna Wyspa jest sanktuarium dużego drzewa zwanego Sequoia Gigantica. Te drzewa wymagają dość delikatnej równowagi pogodowej. Parnbakerowie żywią przesadę, że „jak długo stoją sekwoje, Wolna Wyspa pozostanie wolna”.  
— Tylko nie drzewa — rzekł Czung. — Nie zagrozimy drzewom.  
— Jednakże wskazówki co do kontroli pogody w pierwotnym układzie dopuszczają różne interpretacje — powiedział Komputer.  
— Drzewa nie i koniec — rzekł Czung.  
Sil-Czan nigdy nie słyszał takiej siły w głosie Czunga. Starzec wydał się nagle twardy i stanowczy. Były to cechy, jakich Sil-Czan nigdy przedtem w nim nie wyczuł.  
— Co... co możemy zrobić? — spytał Sil-Czan. Czuł, że odcięto go od jego korzeni. Jego kariera, jego praca — jego marzenie, że pewnego dnia zasiądzie w fotelu Czunga — wszystko to odpływało od niego.  
— Umożliwię ci wzięcie prywatnego odrzutownika i samotne udanie się na Wolną Wyspę — rzekł Czung. — Dowiedz się, w jaki sposób możemy wykorzystać tę wyspę, aby się uwolnić z rąk tego myrmidzkiego rządu i jego piekielnych księgowych.  
— Użyć... — Sil-Czan potrząsnął głową. — Sir, jeżeli do Parnbakerów dojdzie najmniejsza pogłoska o tym, że jesteśmy w takich tarapatkach, mogą przyłączyć się do naszych wrogów.  
— Istnieje taka możliwość — rzekł Czung. — Wierzę jednak, że potrafisz jej uniknąć. Nie ma czasu do stracenia. Proponuję, żebyś zaraz wyruszył.  
Sil-Czan zwilżył wargi językiem.  
— Czy... czy nie powinienem zebrać więcej informacji o...  
— Nie ma lepszego źródła informacji niż sama Wolna Wyspa — rzekł Czung. — Meldunki składaj na zakodowanym kanale,  
Sil-Czan podniósł się. Czuł, że został wmanewrowany w niemożliwą sytuację. Jego poświęcenie dla Biblioteki było dobrze znane... i może dlatego został wybrany do tej misji. Lojalność. A on był Głównym Księgowym, tym, który nawet nie wykrył tego salda Parnbakerów. Sil-Czan powoli opuścił gabinet. Wina i lojalność wywołały mu w głowie zamęt. Nie można ich było ze sobą pogodzić, ale czuł, że nim kierowały.

Po następnych dwu dniach badania Salda Parnbakerów Czung siedział samotnie w zaciszu swego gabinetu. Wyczuwał nad sobą wagę tych wszystkich korytarzy zbudowanych na kształt plastra miodu — były ich tysiące, a jeszcze więcej było ich poniżej. Był pyłkiem w całym tym systemie, albo czymś mniej niż pyłkiem. A w całym ogromie wszechświata nawet ta planeta ze swoją cenną zawartością malała do nic nie znaczących rozmiarów.

Spojrzenie na chrono powiedziało mu, że na górze było późne popołudnie. Sil-Czan był już prawie na Wolnej Wyspie. Czung spojrział na projektor pokazujący astronomiczne cyfry, „Kontrola Klimatyczna: 66 000 stellarów miesięcznie! Aj!” — potarł skronie. — „To ja zawiodłem, a nie biedny Sil-Czan”.

Dyrektorowi wyrwało się głębokie westchnienie. „A co, jeśli zrobiłem jeszcze jeden błąd?” Ale ten młody człowiek był niezonaty i przystojny — męski. Zapisy mówiły, że zażywał Anty-S, żeby zahamować swój naturalny popęd płciowy i uwolnić swą energię dla służby Bibliotece. Bardzo dziwny młody człowiek.

Nagle w jego zadumę wdarła się autosekretarka swoim metalicznym, komputerowym głosem:

— Sir Perling Ambroso, główny księgowy rządu, do Dyrektora Archiwów Czunga.

Czung nacisnął guzik otwierający wachlarzowe drzwi jego gabinetu. Wachlarze rozwarły się błyskawicznie i Ambroso wpadł do gabinetu jak popchnięty sprężyną. Był mężczyzną o okrągłych, rumianych policzkach, rudawych włosach i ciele człowieka niegdyś aktywnego, które teraz nabierało tłuszczu zamiast mięśni. Według raportów lubił wino. Oczy miał małe, niebieskie i twarde, a mówił bezbarwnym głosem nawykłym do rozkazywania.

Przy pierwszym spotkaniu Ambroso przybrał maskę dobrego humoru. Teraz nie zostało po niej ani śladu.

— Czung! — wyrzucił. — Czy celowo utrudniasz mi pracę?

— Ja... oczywiście, że nie — Czung spojrział w górę na swego oskarżyciela. Ten ostry sposób bycia — Ambroso był wojskowym!

— Twój komputer reaguje jak ciężarna swerta w droginowym bagnie! — rzekł Ambroso. Oparł dłonie z niemowlęcymi fałdkami skóry na biurku Czunga. — Kiedy żądam odpowiedzi na pytanie dlaczego, słyszę, że ponad 3/4 waszych obwodów jest zajęta problemem, któremu twój personel przyznał bezwzględne pierwszeństwo. Wyjaśnij to.

Czung przełknął ślinę. „Salda Parnbakerów! O, Święty Dyrektorze Archiwów Niebieskich! Jeśli zwolnię te obwody, to rządowe szakale będą mogły dotrzeć bezpośrednio do Salda Parnbakerów”.

— Czym są zajęte te obwody? — zażądał Ambroso.

Czung zawahał się na krawędzi otwartego kłamstwa, ale uwarunkowanie całego życia oddanego Kodeksowi wzięło górę.

— Pracują nad zagadnieniem większych oszczędności w naszej działalności, Sir Ambroso.

— My się zajmiemy waszymi zagadnieniami oszczędności — rzekł Ambroso. - Ty masz zwolnić te obwody.

— W tej chwili — Czung odwrócił się do swych przycisków, włączył pstryknięciem jednego z nich komputer i rzekł:

— Rządowi księgowi pracujący w sekcji CC podpoziomu 224 otrzymują bezwzględne pierwszeństwo dysponowania całym czasem komputera. Wszystkie poprzednie zezwolenia pierwszeństwa zostają niniejszym odwołane.

Głośnik wydał dziwne kaszłące brzęczenie, po czym rzekł:

— Przyjęte i wciągnięte do akt.

Czung ponownie spojrział w górę na Ambroso.

— Proszę nam wybaczyć. To nie była umyślna przeszkoda. Pierwszą zasadą naszego Kodeksu jest posłuszeństwo wobec rządu.

— To ty tak mówisz — Ambroso pozwolił sobie na powolny uśmiech. — Ale jeśli będę miał dalsze dowody, że usiłujecie nam przeszkodzić, sprowadzę oddział z monitora, żeby zapewnić sobie spokój.

— Jestem przekonany, że to nie będzie konieczne — rzekł Czung.

Ambroso ponownie się uśmiechnął. Był to prawie tik, który zniknął, zanim Czung tak naprawdę go zauważył. Ambroso zaczął się odwracać, ale zatrzymał się, bo uwagę jego przykuły ciekawostki na stoliku za Czungiem. Cztery szybkie kroki i Ambroso był już przy stoliku, podnosząc złotą statuetkę. Była to figurka małego uskrzydłonego buta z naotańskim napisem na podstawie.

— Kosztowna błyskotka — zauważył Ambroso. — Czy wydano na nią oficjalne fundusze?

— To prezent od Badaczy z Naos na naszą dziewięcioletnią rocznicę — rzekł Czung.

Znowu uśmiech-tik musnął twarz Ambroso. Delikatnie odstawił statuetkę na miejsce.

— Tak długo. Tak bardzo, bardzo długo. I przez wszystkie te wieki wysyłacie te wasze bzdury w przestrzeń. Tyle zmarnowanych emisji bez odrobiny informacji.

Rysy Czunga zeszywniały.

— Nadajemy wiele rzeczy, to prawda. Nasze informacje mają różną wartość. Selekcja programów jest, jak pan wie, czysto przypadkowa. Nasz statut przyjmuje matematyczne prawdopodobieństwo, że ważne dane będą wybierane co...

— Tak, tak — rzekł Ambroso. — Tak się twierdzi.

— Są różne pojęcia wartości — powiedział Czung. — Nie zmienia to faktu, że zbieramy wytwory rąk i informacje z dalekich połączeń naszego wszechświata... i że niczego nie ukrywamy w tym, co rozpowszechniamy.

— Zbyt duże rumowisko do przebrnięcia dla znalezienia jednego klejnotu — rzekł Ambroso. — Wasze klejnoty stały się coraz bardziej i bardziej nieoczekiwane.

Czung ukrył gniew i wymruczał:

— Powiedziano, że zajmujemy się nieoczekiwanym. Są jednak czasy, kiedy nieoczekiwane może stać się zabójcze.

— Tak zabójcze jak broń na naszym monitorze? — zapytał Ambroso.

— My nie chodzimy ścieżkami przemocy — odparł Czung.

— Ale czasy się zmieniają — rzekł Ambroso. — Nowe metody wymazują błędy przeszłości. Robią miejsce dla...

— Błędów przyszłości — dokończył Czung.

Ambroso spojrzał na niego gniewnie.

— Zbieracie bezużyteczne śmieci! Chomiki!

— Znane były kiedyś jako nowiki lub nowiki-kupcy — powiedział Czung. — To znaczy te zwierzęta. Okradały myśliwych w głuszy, ale zawsze zostawiały coś ze swego gniazda. Takie gniazdo nowika-kupca mogło kryć rubin, który mógł być wymieniony na mały kawałek plastiku. Szczęśliwy ten myśliwy, któremu coś takiego się przytrafiło.

— A co z myśliwym, który utracił rubin, a dostał mały kawałeczek plastiku? — zapytał Ambroso. Uśmiechnął się, zakręcił na pięcie i wyszedł stanowczym krokiem z gabinetu.

Kiedy wachlarzowe drzwi zamknęły się, Czung wziął do ręki uskrzydłony but i potarł go kciukiem. Badacze z Naos byli szczególnie wdzięczni. Archiwa zaoszczędziły im trzech wieków pracy nad problemem przypadkowego dostosowania pragnień w ścierających się grupach ludzkich. Dzisiaj planety Naos były znane z dynamicznego ducha swego narodu, który to fakt został wyryty pod złotym butem:

„Informacja jest narzędziem i siłą napędową inteligencji”

Czung postawił uskrzydłony but z powrotem na stoliku. Napełnił go on chwilowym poczuciem sędziwej antyczności, którą kierował — uczuciem, jakiego w takiej formie nie doświadczył od młodości. Natychmiast ogarnęła go fala ściskającej gardło nostalgii.

„Czy zbliża się koniec?”

Nieświadomie zwrócił się w kierunku Wolnej Wyspy Parnbaker.

„Wasz sekret się wydał, ale stawka jest wyższa ponad wszelkie oczekiwanie. Działaj mądrze, Sil-Czan... ale nie za mądrze”.

Sil-Czan zbliżył się do Wolnej Wyspy Parnbaker rankiem. Dłonie na sterach odrzutownika miał śliskie od potu. Poczul, że opanowało go nielogiczne pragnienie zawrócenia i ucieczki. Im bardziej zbliżał się do wyspy, tym silniejsze stawało się to uczucie.

W Masayan zaistniały szarpiące nerwy opóźnienia, kiedy urzędnicy udzielali mu zezwolenia na lot do Wyspy. Wyrazili zdumienie, że gdzieś na mglistym morzu leży wyspa, choć udzielali zezwoleń na loty na tym terenie przez całe swe zawodowe życie. Sil-Czan podał im jednak specjalny kod kanału i wywiązała się komunikacja — wyłącznie głosowa. Ktoś został zidentyfikowany jako Kontrola Wolnej Wyspy i najpierw był bardzo oporny, ale potem stał się z niewyjaśnionych przyczyn pełen chęci pomocy.

Sil-Czan dostroił się do kanału Wolnej Wyspy, gdy leciał nad morzem. Z każdą minutą wyspa stawała się coraz wyraźniejsza, wyłaniając się ze srebrzystych mgieł. Zobaczył strome zalesione wzgórza, błyskające błękitem strumienie, rzadkie, białe plamki budynków na pół ukrytych w zieleni. Białe grzywacze pieniały się przy brzegu.

Miejsce wyglądało dziko... nieterrańsko — wcale nie było podobne do znajomych, pofałdowanych zarysów przypominającego park kontynentu. Gdy wychynął z resztek mgły na pełne światło słońca i dostrzegł więcej szczegółów, Sil-Czan wstrzymał oddech. Co z odległości wydawało się stromymi wzgórzami pokrytymi omszałymi krzakami, teraz okazało się szeregami gigantycznych drzew. Strzelały w niebo. Ogromne drzewa!

Jego głośnik zagadał, trzasnął i odezwał się kobiecym głosem:

— Kontrola Wolnej Wyspy woła odrzutownik.

Sil-Czan wcisnął przycisk nadawania:

— Tu odrzutownik.

Kobięcy głos rzekł:

— Mamy cię na dalekim zasięgu. Podchodzisz na przesmyk i zatokę. Przy końcu zatoki zobaczysz linię niskich białych budynków. Skręć w głąb lądu dokładnie nad nimi. Zejdź nisko. Masz być nie wyżej, niż 50 metrów nad grzbietem wzgórza za tymi budynkami, kiedy będziesz nad nimi przelatywał.

— 50 metrów, w porządku — Sil-Czan wyregulował swój wysokościomierz.

Kobięcy głos ciągnął dalej:

— Zaraz za tym wzgórzem wykosiliśmy dla ciebie w trawie pas do lądowania ze wschodu na zachód. Jeśli ustawisz się prawidłowo nad białymi budynkami i utrzymasz się nisko, powinieneś...

— Wykosiliście? — Sil-Czan wyrzucił to słowo mocno przyciskając palcem guzik nadawania.

Kobięcy głos przerwał, a następnie odezwał się:

— Tak, wykosiliśmy. Powinieneś wziąć kopter zamiast tej zabawki. Właśnie miałam to zaproponować, kiedy PN powiedział, że chciałby zobaczyć jeden z tych nowych odrzutowników.

Sil-Czan spróbował przełknąć ślinę mimo ucisku w gardle.

— Widzę białe budynki. Są trzy. Skręcam.

— 50 metrów, nie więcej.

Sil-Czan sprawdził pasy awaryjne.

— Dobrze.

— Czy widzisz jedno wyższe drzewo na wzgórzu?

— Tak.

— Jak najniżej nad tym drzewem. Zanurkuj w dolinę za nim. Namierz się na maszt flagowy na końcu wykoszonego pasa. Utrzymuj się w samym jego środku, to unikniesz wysokiej trawy. Mam nadzieję, że pas jest wystarczająco długi.

„Ja też” — pomyślał Sil-Czan.

Wysokie drzewo wyłaniało się nad nim. Uniósł się nieco, a potem zanurkował i wstrzymał oddech, dostrzegłszy małe lądowisko. Miał czas tylko na przelotne zarejestrowanie masztu, drzew za nim i zamglonego strome go zbocza wznoszącego się gwałtownie bezpośrednio za drzewami. Nie było czasu ani na zboczenie z kursu, ani na wzniesienie się. Kopnia-

kiem włączył klapy na maksymalne wychylenie, odpalił raketowe „hamulce idioty” na dziobie i walczył o zachowanie kontroli nad statkiem, który gwałtownie zwolnił do niebezpiecznie małej prędkości.

Środkiem jaśniejszego pola biegła ścieżka ciemniejszej zieleni. Wycelował w jej środek, a kiedy poczuł ziemię, włączył hamulce. Odrzutownik podskoczył na przednim kole, zarzuciło go na śliskim podłożu, poleciał bokiem w wysoką trawę; Jedno skrzydło zawadziło o ziemię. Statek przekoziółkował raz, drugi.

Zatrzymał się do góry kołami.

Sil-Czan zawisł na pasach. Próbował głęboko oddychać, podczas gdy przez jego umysł przelatywał zwariowany krajobraz, przez który dopiero przeleciał w szalonym tańcu derwisha. Czuł, jak wali mu serce. Bolało go lewe ramię.

„To kosztowało mnie pół mojej długowieczności”.

Zaczynała się reakcja adrenalina. Nie mógł opanować drżenia rąk. Wiedział, że będzie musiał szybko znaleźć źródło zapasów anty-S. To nurkowanie zastąpiło mu parę miesięcy normalnego życia.

Odrzutownik zatrzeszczał i lekko się obsunął. Świadomość Sil-Czana ogarnęła dziwna cisza. Ta cisza go uspokoiła. Zaczął odróżniać słaby świst. W ciszę wdarł się męski głos:

— Hej, tam! W porządku?

Sil-Czan wyobraził sobie pędzący strumień automatycznego wyposażenia ratunkowego, który przywitałby takie lądowanie na normalnym lądowisku. Wzdrygnął się. Cała jego cicha, ukierunkowana na jeden cel powściągliwość, która do tego momentu cechowała jego życie, rozplynęła się jak mgły wokół wyspy. Jak gdyby przeszedł przez niewidzialną barierę i stał się innym człowiekiem po drugiej stronie.

— Wy złotouści, pustogłowi idioci! — ryknął.

Odrzutownik drgnął, kiedy ktoś siłą otworzył właz obok niego. Odwrócił głowę i spojrzął do góry nogami w twarz człowieka, który przypominał mu młodszego Dyrektora Czunga. Sprawilo to osadzenie oczu i powściągliwy wyraz wąskiej twarzy.

— Na ucho wyglądasz zdrowo — rzekł mężczyzna. — Czy nie złamałeś sobie czegoś?

— Nie dzięki wam! — krzyknął Sil-Czan ze złością.

— Dobra, pomogę ci wydostać się z pasów — powiedział mężczyzna. Ukłąkł i delikatnie pomógł Sil-Czanowi uwolnić się z pasów awaryjnych. Jego ręce były szorstkie i niespodziewanie silne. Pachniał jakąś dziwną przyprawą.

Sil-Czan skrzywił się, kiedy wyciągnął z pasów lewe ramię.

— Trochę posiniaczone — rzekł mężczyzna. — Ale nie wygląda, żeby coś było złamane. Co z twoimi nogami i plecami?

— W porządku. Wydostań mnie z tego głupiego...

— Spokojnie. Wszystko się da zrobić, ale pomału.

Mężczyzna delikatnie wyciągnął Sil-Czana przez właz i pomógł mu usiąść na trawiastym pagórku. W powietrzu unosił się gryzący zapach paliwa zmieszany z wonią zgniecionej trawy. Niebo lekko się chwiało nad jego wybawcą.

— Posiedź tu sobie, aż się poczujesz lepiej — powiedział. — Wygląda na to, że jesteś w jednym kawałku.

Sil-Czan uważnie przyglądał się swojemu pierwszemu Parnbakerowi. Mężczyzna miał swobodną postawę, był ubrany w brązową kurtkę z frędzlami i obcisłe spodnie. Kurtka była rozpięta aż do pępka i ukazywała gładki, prawie nieowłosiony tors. Nie można było powiedzieć tego samego o jego głowie. Była ona pokryta płataniną czarnych włosów, których część opadała mu na czoło. Wyglądał równie prymitywnie i dziko, jak jego wyspa.

— Dawid! Dawid! Czy nic mu się nie stało?

Był to głos młodej kobiety z Kontroli Wolnej Wyspy. Wyłoniła się, zdyszana, zza ogona zniszczonego odrzutownika. Jej gołe nogi ocierały się z szelestem o wysoką trawę. Na

widok Sil-Czana zatrzymała się i oparła o odrzutownik, chwytając oddech.

— Dzięki Kamieniowi, że nie zginąłeś — wydyszała. — Biegłam całą drogę od Kontroli.

Sil-Czan spojrział w górę na nią: skóra ciemna jak skóra Czunga, ale jej włosy były złotą chmurą, a oczy błękitem zamglonego morza, pełne ukrytej wesołości, której nawet jej oczywiste zmartwienie nie mogło ukryć. Ona także nosiła ubranie dziwnie obszyte frędzlami, ale wycięcie jej kurtki było wypełnione zaokrągleniem jasnoczerwonej bluzki. Sil-Czan pomyślał, że była najbardziej subtelnie piękną istotą, jaką kiedykolwiek widział. Nie mógł oderwać oczu od tej ślicznej twarzy, miękkich ust, małego nosa, gładkiego zaokrąglenia brody i policzków. Całe staranne tłumienie uczuć, które pomagało mu z uśmiechem piąć się wzwyż hierarchii Archiwum, cała jego przeszłość opadła z niego jak łupina. Z wysiłkiem zmusił się do obowiązków. Chrząknął.

Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, przemówiła:

— Mówiłam im, że ten pas był za krótki. Ale nie! Musieli natychmiast iść na polowanie!

— Spokojnie, Hep — powiedział mężczyzna. Jego głos popłynął swobodnym barytonem. Sil-Czan potrząsnął głową, by uwolnić ją od tej ślicznej wizji.

— Czy moglibyście mnie zaprowadzić do Paternomera? — poprosił.

— Nie będzie go przez dwa dni — powiedział mężczyzna. — Jestem Dawid. To jest Hepzeba.

Imiona wymówił tak, jakby zawierały jakąś ważną informację.

— Mamy się tobą zaopiekować do powrotu PN.

Sztucznie, odczuwając ból w całym ciele, Sil-Czan dźwignął się na nogi, gestem odmawiając przyjęcia pomocy oferowanej przez Dawida.

— Muszę jak najszybciej zobaczyć się z Paternomerem — rzucił okiem na wrak. — To się już raczej nie przyda, żeby do niego dotrzeć.

— Bardzo nam przykro z tego powodu — rzekła Hepzeba. — Naprawdę nie mieliśmy nic do czynienia z przygotowaniami.

— Obawiam się, że będziesz musiał poczekać do powrotu PN — powiedział Dawid. — Nie ma sposobu, żeby do niego dotrzeć, kiedy jest na polowaniu.

— Ale to pilne i ja...

— Na pewno nie wrócisz na kontynent w tym — Hepzeba wskazała wrak. — Mój brat ma tutaj niewielką kwaterę i jest dobrym gospodarzem, kiedy chce.

„Brat!”

Sil-Czan zdał sobie sprawę, że znowu wpatruje się w Hepzebę. „Śliczna. Śliczna. I takie czarujące imię”. Poczł bolesny skurcz w piersi w miejscu, gdzie pasy awaryjne na pewno nie mogły go dotknąć. „Brat”. Sil-Czan obawiał się, że mogą być małżeństwem. I tak mogła jeszcze mieć gdzieś męża.

Zaczerwieniła się pod jego uporczywym spojrzeniem.

„Nie mogę się tak wpatrywać. Muszę coś powiedzieć”.

— Bardzo ładny dzień — powiedział.

— Tak — zgodziła się. — Chodźmy do Dawida.

Machnęła ręką w kierunku niskiej budowli w drzewach z boku lądowiska. Sil-Czan nie zauważył jej dotąd, jak gdyby dziewczyna wyczarowała budowlę za pomocą magii — czerwono-brązowe belki, kamienny komin, małe okna. Tkwiła między drzewami, jakby tam wyrosła.

— Ochraniasz lewe ramię — rzekł Dawid. — Lepiej wejdźmy do środka i obejrzymy je.

Odwrocił się i poprowadził ich przez wysoką trawę.

Sil-Czan dotrzymał mu kroku. Hepzeba szła tuż obok i przypatrywała mu się. Było w

jej wzroku coś przenikliwe, co sprawiało, że Sil-Czan poczuł się nieswojo, ale za nic nie chciałby, żeby odwróciła wzrok. „Śliczna!”

— Przepraszam, że was objechałem — rzekł.

— Miałeś do tego zupełne prawo — odparła. — Ja nigdy bym na to nie pozwoliła, ale PN ustala własne zasady. Przysłał nas z Dużego Przylądka Północnego, abyśmy cię powitali i nie dał nam dostatecznej pomocy. Nikt nie chciał przedsięwziąć czegoś innego — tylko to, co polecił PN.

— Było jeszcze to polowanie — powiedział Dawid nie odwracając się.

— Polowanie! — wybuchnęła. — Jesteś tu, bo jesteś SK. — Odwróciła się do Sil-Czana. — Dawid musi pełnić wszystkie oficjalne obowiązki, którymi nie chce się zajmować PN. PN zmusił mnie do przyjścia, bo nie chciałam się wiązać słowem. Wydaje mu się, że mnie ukarał.

Sil-Czan potrząsnął głową. O czym oni mówili? Rzekł:

— Chyba niezupełnie rozumiem.

— On jest z dalekiego kontynentu — powiedział Dawid. — Dla niego mówisz bez sensu.

Dawid zwolnił i szedł obok Hepzeby, wyjaśniając ponad jej głową:

— Hep nie chciała zaakceptować męża, którego wybrali dla niej bracia. Rozgniewała PN. Tak naprawdę to ona nie musi się zgodzić, ale od kuzynów PN rządu K oczekuje się posłuszeństwa. Sprawa wygląda inaczej z kuzynami rządu H i B.

Sil-Czan patrzył na Dawida, nic nie rozumiejąc.

— Sam mówisz bez sensu — roześmiała się Hepzeba.

— Czy to jakiś specjalny język? — zapytał Sil-Czan.

Dawid pokazał zęby w uśmiechu. Byli już wśród drzew, tylko parę kroków od szerokich drzwi z rozszczępionego drewna, prowadzących do domu.

— Chyba parnbakerski — powiedział Dawid. — Spróbuję jeszcze raz. Zostałem wyznaczony do powitania ciebie, ponieważ PN nie chciał stracić polowania. Starzeje się i uważa, że niewiele polowań mu jeszcze pozostało. Ścigają daniela na Wielkiej Równinie. Dlatego jestem tutaj. Jestem SK. Oznacza to, że zostanę PN, kiedy obecny PN pójdzie do Kamienia. Hep pochodzi z tej samej linii, jest kuzynką rządu K. Ona...

— Co to jest kuzyn rządu K? — spytał Sil-Czan.

Zatrzymali się pod samymi szerokimi drzwiami domu.

Dawid spojrział na Hepzebę. Hepzeba spojrziała na Dawida. Potem spojrziała na Sil-Czana i rzekła:

— Po prostu kuzyn rządu K. To proste. Pochodzę z linii PN. Jedno z moich dzieci płci męskiej zostanie wybrane na następcę Dawida.

— Masz... dzieci? — spytał Sil-Czan.

— Ach, nie. Nie mam nawet męża. A PN jest zły na mnie i karze...

— PN nie jest aż tak drobiazgowy — rzekł Dawid. Otworzył drzwi, ukazując ciemne wnętrze, do którego zaprosił Sil-Czana ruchem ręki. — Mój dostojny gościu, Sooma Sil-Czan. Wejść do mej siedziby i nazywaj ją swoją.

— Wiesz, jak się nazywam?

— Dawid podpisał zezwolenie w imieniu PN — powiedziała Hepzeba. Weszła do domu za Sil-Czanem. Dawid wszedł ostatni i zamknął drzwi.

Sil-Czan przyjrzał się pokojowi — był długi, a jego sufit wznosił się wysoko do pograżonych w półmroku krokwi. Okna wychodziły na lądowisko i zniszczony odrzutownik... inne okna wychodziły na cienisty las... ogromny kamienny kominek w jednym końcu, poczerniały od dymu. W pokoju unosił się jego zapach. Ze ścian wystawały dziwne rzeczy. Sil-Czan przyjrzał się im i stwierdził, że były to wypchane głowy rogatych zwierząt. Na kominku płonął mały ogień. Dawid podszedł do niego, rozdmuchał ogień i dołożył więcej kłód.



Hepzeba dotknęła ramienia Sil-Czana i rzekła:

— Chodź do ognia i pozwól mi obejrzeć swoje ramię. Dawidzie, daj nam coś na porzepienie i żeby było dobre i mocne.

— Dobrze — Dawid wyszedł przez drzwi po przeciwnej stronie kominka.

Sil-Czan poczuł zawrót głowy. Ta oszałamiająca kobieta nie była zamężna! Dawid był SK. Co to takiego? Sil-Czan czuł, że czytał o czymś takim gdzieś w Bibliotece. „Spadkobierca Konieczny! Tak, oczywiście”. A Hepzeba była z tej samej linii. „O, bogowie wszechświata! To była królewska para!

— Chodź — powiedziała Hepzeba.

Sil-Czan pozwolił, aby poprowadziła go do otomany z niskim oparciem przy kominku. Płomienie cicho mruczały. Zapach dymu był tu silniejszy. Potknął się o coś, co melodyjnie zadźwięczało.

— Jedno z dzieci zostawiło zabawkę — powiedziała Hepzeba. — Dawid jest dla nich taki dobry — wskazała otomanę. — Usiądź i zdejmij kurtkę. Zrobię...

— Nie, naprawdę. Nic mi nie jest — powiedział Sil-Czan. Znowu poczuł się złapany w pułapkę jej oczu — to miękkie spojrzenie w tym cieniowym pokoju... jak jakieś leśne zwierzę. „Ona nie jest zamężna. Ona nie jest zamężna”.

— I tak je obejrze — rzekła. Popchnęła go lekko; opadł na otomanę. Była miękka, głęboka i pachniała zwierzęciem.

Hepzeba pochyliła się nad nim i Sil-Czan wciągnął w nozdrza przyprawiający o zawrót głowy zapach włosów natartych piżmem. Pozwolił, aby pomogła mu zdjąć kurtkę i koszulę. Kurtka była rozdarta na łokciu, czego nawet nie zauważył. Ciało mrowiło w miejscu, gdzie dotykała je Hepzeba.

— Nieprzyjemny siniak na ramieniu i zadrapanie nad lewym łokciem — rzekła. Podeszła do drzwi przy kominku, wróciła po chwili z kawałkiem tkaniny pachnącej maścią. Materiał był chłodny i uśmierzał ból w miejscu, gdzie przyłożyła go do ramienia.

— Co to jest związanie słowem? — spytał Sil-Czan.

— Wiążący słowem to starsi klanu. Oni decydują, czy związek będzie korzystny dla klanu.

Przełknął ślinę.

— Czy kiedykolwiek... poślubiacie kogoś spoza klanu?

Spuściła oczy.

— Czasami.

Sil-Czan przyglądał się miękkiemu owalowi jej twarzy, wyobraził ją sobie na poduszce obok niego. Jego misja, problemy Archiwum, Czung — wszystko rozplynęło się w dali... inna planeta.

— Wypij to.

To Dawid nagle stanął za nim, wyciągając do niego gliniany kubek, w którym wirowała brunatna ciecz o ostrym aromacie. Sil-Czan spróbował jej; była gorąca, ostra i piekąca. Przełknął napój. Wypełniło go ciepło. Ponownie odczuł wewnętrzne wyzwolenie, jakiego doświadczył po rozbiciu odrzutownika — był inną osobą. Wstał.

— Jak się załatwia związanie słowem?

Spojrzała z dołu na niego z delikatnym uśmiechem na ustach. Coś mglistego i pełnego zdumienia pojawiło się w jej oczach.

— Mamy parę sposobów. Kuzyni Paternomera rzędu K mogą przejąć inicjatywę, jeżeli para o to prosi.

— O co chodzi z tym związaniem słowem? — spytał Dawid. Obszedł otomanę i stanął plecami do ognia.

Hepzeba przesunęła rękę przed oczami Sil-Czana, przysunęła się blisko i wpatrzyła się w niego.

Sil-Czan powiedział:

— Co ty...

— Mam wewnętrzne spojrzenie — odparła. — Wchodzi się bardzo głęboko. Jest tam ciepło i przyjemnie.

— Pytałem was... — odezwał się Dawid.

— Jeżeli on mnie zechce, Dawidzie, zamierzam otworzyć słowo — odparła.

Dawid spojrział na Sil-Czana, na Hepzebę.

— Chyba nie było mnie w pokoju aż tak długo, prawda? Poszedłem tylko po napój.

Dotknęła delikatniej przegubu Sil-Czana. Znowu poczuł mrowienie.

— To nie ma sensu — powiedział Dawid.

Jej ręka wśliznęła się w dłoń Sil-Czana. Poczuli, że doskonale tam pasuje, poczuł doskonałość jej obok siebie.

— Czy poślubiasz mnie, Sooma Sil-Czan? — zapytała.

— Hep, przestań — rzekł Dawid.

— Cicho bądź, Dawid — odparła — albo zacznę opowiadać o tajemnych wizytach pewnego młodego człowieka na kontynencie.

— No, Hep! Ty...

— Cicho — powiedziała.

Sil-Czan poczuł się jakby skapany w ciepłej łunie: napój w nim, ręka Hepzeby w jego ręce. P o ś l u b i ć j ą?

— Pójdę nawet na koniec wszechświata, żeby cię poślubić — wyszeptał.

— Czy to oznacza tak? — zapytała.

— Tak. Tak.

— Ale wyście się dopiero co poznali! — zaprotestował Dawid.

— Wiążący słowem zgodzą się ze mną — powiedziała. — Ale ja już wiem. Wewnętrzne spojrzenie nigdy nie zawodzi — przechyliła głowę, spojrziała na Sil-Czana kącikami oczu. — On jest bardzo atrakcyjny.

Dawid sprawiał wrażenie rozgniewanego.

— Jest po prostu inny.

— Ja już jestem pewna — rzekła. — A ty słyszałeś pytanie i słyszałeś odpowiedź.

— Tego już za wiele! — rozżościł się Dawid. — Zawsze musisz zrobić coś takiego!

Sil-Czan poczuł, że dostaje gęsiej skórki. Czuli się jak szalony. Stopniały wszystkie te lata celibatu i poświęcenia obowiązkowi i karierze.

— On nigdy nie przyjmie nazwiska — rzekł Dawid. — Od razu to po nim widać.

— Do diabła z wiążącymi słowem — stał zadzwięczająca w jej głosie. — Więc jeśli on nie przyjmie nazwiska, pójdę z nim ... tak jak należy. Przekroczymy tę rzekę, jeśli przetnie nasz szlak.

— To o wiele za szybko — powiedział Dawid. — PN trafi szlag, kiedy...

— Syn jego siostry i syn twojej siostry — to właśnie PN — rzekła. — Nie zapomnijmy o tym nigdy.

Kiedy Dawid odpowiedział, jego głos był cichszy:

— A jednak to za szybko.

Sil-Czan wodził spojrzeniem od jednego do drugiego. Czerpał siłą z dotyku dłoni Hepzeby w jego ręce. Logika ani rozsądek nie były potrzebne.

— Zawsze byłem szybka — rzekła Hepzeba. — Podejmuję decyzje z szybkością góry lodowej odłamującej się z lodowca.

Dawid wyrzucił ręce do góry.

— To niemożliwe. Jesteś niemożliwa.

— Kiedy się pobierzemy? — spytał Sil-Czan.

— Miesiąc. Tego nie możemy przyspieszyć — odparła.

Dawid powiedział:

— Hep, gdybyś tylko...

— Ostrzegłam się, Dawid.

Dawid odwrócił się do Sil-Czana.

— Czy zdajesz sobie sprawę, co rozpętujesz?

To pytanie przesunęło się jak lodowaty palec wzdłuż kręgosłupa Sil-Czana. Był tu, aby podjąć negocjacje z Patnomerem. Co z tego będzie, jeśli od razu na początku zrazi PN?

— Wiedziałam, że to będzie przełomowy dzień — rzekła Hepzeba. — O świcie stado siewek usiadło w trawie przed moim oknem. Jedna została, kiedy inne odleciały. Krzyknęła do mnie, zanim odleciała za stadem.

— PN rozwali drzewa — powiedział Dawid. — Chce, żeby Hep poślubiła Martina. Połączenie tych dwu linii zapobiegnie sporom. — Odwrócił się do Hepzeby, — Wiesz o tym!

— Inni mogą dokonać połączenia. Na pewno tak będzie — odparła.

Dawid zerknął na Sil-Czana.

— A co, jeśli on się zmieni...

— Czy kiedykolwiek nie miałam racji, Dawidzie... co do kogoś takiego?

— Linia PN jest ważniejsza od ciebie i wszystkiego innego — powiedział Dawid.

— A ja się połączę z tym, z kim się połączę.

Dawid odwrócił się plecami do niej i zapatrzył się w ogień.

— Ty! — wymruczał.

Czung obudził się w czarnej ciemności swej sypialni. i przez kilka uderzeń serca próbował się zorientować, gdzie jest. Koszmar ciągle tkwił w jego umyśle. Sen był przeraźliwie rzeczywisty: Ambroso wszedł do gabinetu Dyrektora wymachując śmiercionośną bronią i śmiejąc się śmiechem Soomy Sil-Czana. Powoli ciało Ambroso odpadło, zostawiając Sil-Czana, który dalej śmiał się i wymachiwał bronią.

— Teraz wiesz, kim jestem — powiedział Sil-Czan we śnie. — Teraz ja jestem Dyrektorem. Wynoś się, starcze.

— Nie śpisz, Pat? — odezwała się Madame Czung z sąsiedniego łóżka.

Czung był zadowolony, że nie mogła widzieć jego spoconej twarzy.

— Nie.

— Martwisz się czymś, kochanie?

— Martwię się Soomą. Ani słowa od niego.

— Odezwie się, kiedy będzie miał jakieś wiadomości, kochanie.

— Tego właśnie się obawiam.

— Dlaczego?

— Ambroso zażądał dzisiaj wszystkich moich prywatnych kodów.

— I dałeś mu je?

— A co innego miałem zrobić? Muszę być posłuszny.

— Ta głupia zasada!

Czung westchnął.

— Sooma znajdzie rozwiązanie — rzekła Madame Czung. — Zapisy nie mogły się co do niego pomylić.

— Ale on jest... taki gwałtowny.

— Jest jeszcze młody, kochanie.

— I taki gwałtowny.

— Sooma musiał ciężko zapracować na swoje stanowisko. Zaufaj mu.

Czung westchnął.

— Próbuję. Ale to trudne. Kiedy byłem w jego wieku, miałem już!..

— Byłeś przedwcześnie rozwinięty. Chodź do mnie i daj się ukoić.

Sil-Czanowi też śnił się koszmar. Dawid Parnbaker umieścił go w małym pokoiku z kominkiem „ponieważ w nocy robi się tu zimno”. Łóżko było wąskie i mocne, koce były szorstkie i pachniały zwierzęcą sierścią. Nie było poduszki i ramię Sil-Czana pulsowało. Zwinął ubranie pod głową i spróbował zasnąć.

Nawiedził go koszmar.

Stał nad nim Paternomer Parnbaker. PN był dwa razy wyższy od normalnego człowieka, a jego palce były zakończone pazurami. Z pazurów kapłała krew daniela.

— Zapoluję na ciebie! — rozwścieczył się PN. Szpony przybliżyły się do Sil-Czana. Hepzeba wyskoczyła przed niego. Z jej delikatnych ust wystawały kły.

— On jest mój — rzekła, a jej głos był głosem drapieżnego kota. — Napiję się twojej krwi, zanim pozwolę ci go skrzywdzić.

Sil-Czan spostrzegł, że miał związane ręce, a nogi ciasno owinięte jakimś workiem. Nie mógł się poruszyć ani wydobyć głosu.

PN przesunął się w lewo. Hepzeba rzuciła się na niego. PN przesunął się w prawo. Hepzeba znowu go zablokowała.

— Rzucę tego głupca w najgłębszy szyb Biblioteki — powiedział PN. — Kto mnie zatrzyma? Biblioteka jest moja... moja... moja... moja...

Sil-Czan obudził się mocno owinięty w koce, którymi się omotał w czasie snu. Bolało go ramię. Powoli uwolnił się z koców i usiadł na krawędzi łóżka. Pod nagimi stopami czuł zimną podłogę. Przez mały świetlik wpadało światło księżyca. Cienie pni ogromnych drzew rysowały figury na podłodze.

Jutrzejszy dzień on i Hepzeba będą mieli dla siebie. PN miał przybyć pojutrze.

„Cóż mogę powiedzieć?”

Sil-Czan czuł, że został zaczarowany, schwytyany w magiczną sieć. „Wiem o tym, ale nie obchodzi mnie to”. Jakie znaczenie ma Saldo Parnbakerów? Nic nie miało znaczenia oprócz tego zaczarowania. „Ale nie mogę opuścić Biblioteki. Czung na mnie polega”. Dlaczego Czung na nim polegał? To pytanie nie przyszło przedtem Sil-Czanowi do głowy w takiej formie. Dlaczego? No... Czung nie zrobiłby ruchu nie poradziwszy się Zapisów. To było pewne. Co takiego mogły Dyrektorowi powiedzieć Zapisy o niejakim Soomie Sil-Czanie?

Sil-Czan spojrział wstecz na swoje własne życie — pełen poświęcenia niewolnik Biblioteki, niewiele lepszy od jakiegoś robota. Oczywiście sam o programujący się. Zbyt prostoliniowy dla większości ludzi. Niewielu przyjaciół. Żadnych przyjaciółek, choć kilka wykazywało coś więcej niż tylko przelotne zainteresowanie nim. To zainteresowanie szybko niknęło, gdy dowiadywały się, że zażywa anty-S.

„No, teraz je odstawiłem. Prawdopodobnie nigdy o nim nie słyszeli na Wolnej Wyspie”.

Pomyślał wtedy o Hepzebie, wyczarował jej twarz w swoim umyśle. Ach, z nią wszystko było możliwe.

Z westchnieniem Sil-Czan ponownie zwinął się w koc i ułożył do snu. Tym razem przywołał inny koszmar: jego ciało zostało zmienione przez czarownicę (która zdumiewająco przypominała Hepzebę) w pulsujące oko, które pędziło w głąb, coraz głębiej w dół jakiegoś szybu na Planecie Bibliotecznej. Upadek wydawał się nie mieć końca i kiedy wreszcie oko Sil-Czan przestał spadać, spojrział w górę i ujrzał całą zawartość Biblioteki lecącą na niego w dół szybu.

— Oślepi mnie! — krzyknął.

I obudził się w bladym świetle poranka wpadającym przez świetlik, przez który było widać mgły snujące się w gałęziach drzew.

Ktoś zapukał do drzwi. Głos Dawida:

— Nie śpisz?

— Nie.

— PN przyjechał.

Sil-Czan usiadł, spojrzął na zamknięte drzwi.

— Ale on nie miał...

— Jest tutaj i chce się natychmiast z tobą zobaczyć. Z tobą i z Hepzebą.

Paternomer Parnbaker nie był tak wysoki, jak w koszmarze, ale i tak górował nad Sil-Czanem. Miał ponad 2 metry wzrostu, a burza siwych włosów dodawała mu dalsze 10 cm. Był masywnym, muskularnym mężczyzną o szybkich ruchach. Światło wczesnego poranka przenikało przez wschodnie okna i zalewało pokój ostrymi kontrastami. PN wyglądał jak starodawny galion na dziobie okrętu, przypominał starszego Dawida — skóra jak wysuszony rzemień, kurze stopki w kącikach oczu i ust, kwadratowy podbródek, oczy koloru błękitnego morza i szerokie usta o ciemnych wargach.

Sil-Czan stał przed kominkiem, twarzą do PN. Hepzeba siedziała na otomanie, Dawid stał za nią.

PN spojrzął gniewnie na Sil-Czana.

— Dlaczego rozmyślnie wtrącasz się do spraw, o których nie masz pojęcia?

Sil-Czan spojrzął na Hepzebę, ale ona miała wzrok wbity w podłogę..

— Nie przybyłem, aby cokolwiek psuć — rzekł Sil-Czan.

— Ja oceniam człowieka według jego czynów — odparł PN. — Od jak dawna widujesz się z moją siostrzenicą?

— Wczoraj zobaczyłem ją pierwszy raz.

— To rzeczywiście prawdopodobna historyjka.

— Czy nazywa mnie pan kłamcą, sir? — powiedział Sil-Czan cicho i spokojnie. Jego ton zdumiał nawet jego samego. Sil-Czan sprzed spotkania z Parnbakerami nigdy by go nie użył.

PN zaszczycił go dziwnym, wyważonym spojrzeniem i rzekł:

— Nooo... nie. Ale przyznasz, że to zdumiewające.

— Owszem, zdumiewające.

— A więc po co tu przybyłeś?

— Biblioteka potrzebuje pańskiej pomocy.

— I w ten sposób ją sobie zdobywasz? — skinął ręką w kierunku Hepzeby.

Wstała, podeszła do Sil-Czana i wzięła go za rękę.

— Prawie go zabiłeś, wuju, i nawet go nie przeprosiłeś.

— Nie wtrącaj się.

— Nie mów do mnie takim tonem, bo ja i moje siostry przeklniemy nasienie — rzekła.

— A jak wtedy znajdziesz PN?

Spojrzął na nią z gniewem.

— Ja tu jestem PN! — zabrzmiało to jak „pen”.

— A ja jestem Wybranym Łonem! — odparła.

PN spojrzął na Sil-Czana.

— Z nim?

— Z kimkolwiek, na kogo padnie mój wybór!

— Jeśli wiążący słowem się zgodzą?

— Zgodzą się.

— Chce mi się pić — rzekł PN.

Dawid wypadł z pokoju i pobiegł na tyły domu. PN patrzył w ogień. Po chwili wrócił Dawid z glinianym kubkiem podobnym do tego, jaki przyniósł Sil-Czanowi. PN przyjął napój nie patrząc na Dawida, wypił, wytarł usta i zwrócił kubek z takim samym lekceważeniem podającego.

— Moje słowo jest tutaj prawem — powiedział PN. — Z wyjątkiem bezpośredniego

polecenia wydanego takiej smarkuli — ruchem głowy wskazał Hepzebę. — Czy wiesz, że przerwałeś mi polowanie?

— Wiem, że Dawid wysłał do ciebie wiadomość — odparła.

— Ale mogłeś przybyć po polowaniu.

— I znaleźć cię już u wiążących słowem? — spojrzał na Sil-Czana. — Czemu jeszcze nie usiadłeś? Mówiłem ci, że nie musisz stać. — Jego głos zabrzmiał nagle staro i opryskliwie. — Wiem, że jesteś ranny.

Sil-Czan zdał sobie sprawę, że nie może się spodziewać w charakterze przeprosin niczego ponad to. Rozbawiło go to i dodało sił.

— Jesteś mu coś winien za zniszczenie odrzutownika — zaryzykował Dawid.

PN odwrócił się błyskawicznie.

— Nie jestem mu winien kobiety, która mogłaby połączyć te linie. Martin jest chętny. Dlaczego ona nie może...

— Mam siostry — odparła Hepzeba. — Linie mogą się jeszcze połączyć.

— Ale nie w tym roku — mruknął PN. - To nadużycie kazać staremu człowiekowi czekać na...

Sil-Czan przerwał:

— Czy nie jest pan trochę...

— Nie wtrącaj się! — warknął PN.

- Będę się wtrącał!

— Nie chcesz wykonać wyraźnego polecenia PN? — jego głos brzmiał złowrogo.

Sil-Czan zdusił rewolucję w żołądku.

— Sir, przybyłem tu z polecenia Archiwów Galaktycznych Biblioteki. Nie ma pan pojęcia, co...

— Twoimi oficjalnymi usprawiedliwieniami zajmiemy się później — rzekł PN. — Teraz usiłuję przemówić do rozsądku oślo upartej kobiecie, która...

— Wuju — w głosie Hepzeby z powrotem była stal. — W obecności świadka poprosiłam tego mężczyznę, by mnie poślubił, a on się zgodził.

— Tak mówi Dawid!

— Nawet ty nie stoisz ponad prawem — rzekła. — Może przypomnisz sobie, że nie byłam wychowana do ciężkiej harówki...

— Może to był mój błąd — mruknął PN.

— Jeżeli to był błąd, to nie mój — odparła. — I ostrzegam cię że nie zamierzam ulec twojej oswojonej bandzie wiążących słowem, jeśli...

— Jesteś oślo upartą kobietą!

Hepzeba ciągnęła spokojnie dalej:

— ... jeśli nie dokonają wróżb i przepowiedni. Oboje wiemy, że aprobując Martina działali zgodnie z twoimi instrukcjami.

— Co za różnica? Bożek czy zdrowy rozsądek? Ja wymagam zdrowego rozsądku — znowu zapatrzył się w ogień.

— Nie próbuj zawładnąć wiążącymi słowem — rzekła. — Zażądam Sądu Plebsu. Wiesz, co się wtedy stanie.

Przemówił nie odwracając się:

— Grozisz mi?

Odparła:

— Wiążący staną nad Kamieniem i będą zmuszeni przyznać się do twojej ingerencji. Plebs odda głos na mnie.

— W porządku! — odwrócił się błyskawicznie. — Więc chcesz tego... tego... — machnął pięścią w kierunku Sil-Czana. — Nawet kiedy byłaś maleńka, dostawałaś wszystko, czego chciałaś. A teraz...

— Czy moglibyście wszyscy zamknąć się na chwilę? — zapytał Sil-Czan. — Mam już dość tych rodzinnych sprzeczek. — Dostrzegł nagle uśmiech na twarzy Dawida stojącego za PN i to go podniosło na duchu.

— Ach, tak? — spytał PN. Jego głos brzmiał złowieszczo.

— Przyznaję się, że błyskawicznie zakochałem się w pańskiej siostrzenicy — rzekł Sil-Czan. — Któż może mnie za to winić? To chemia albo... nieważne. To cudowne uczucie i nie zamieniłbym go na całą Wolną Wyspę. Ale przybyłem tu w innej sprawie, w sprawie zasadniczej dla nas wszystkich.

— Czy wiesz, że mógłbym kazać zabrać cię do puszczy ot, tak... — PN pstryknął palcami — i u s u n ą ć i nikt by o tym nie wiedział ani przedtem, ani potem?

Dawny Sil-Czan skurczyłby się pod tą groźbą. Nowy Sil-Czan zrobił krok w kierunku PN.

— Mógłbyś mnie zamordować, ale ktoś b y o tym wiedział!

PN otworzył usta i gwałtownie je zamknął. Uniósł podbródek. Spojrzał na Sil-Czana z nowym zainteresowaniem.

— Mamy wspólne problemy — rzekł Sil-Czan. — My...

— Masz talent do stwarzania problemów, co do tego nie ma wątpliwości — powiedział PN, ale Sil-Czan wyczuł w jego głosie żartobliwe nutki.

— Może mnie pan zmusić do powrotu na kontynent bez Hepzeby, ale mam tu misję do spełnienia. Jestem urzędnikiem Archiwów Galaktycznych — powiedział Sil-Czan.

Hepzeba ścisnęła rękę Sil-Czana.

— Jeśli ty odejdziesz, to ja też.

PN zamrugnął powiekami, spojrzał na swoją siostrzenicę, potem na Sil-Czana.

— Dobrze! Co was martwi, chomiki? Chcę usłyszeć wszystko.

Sil-Czan skrzywił się. Przypomniał sobie ostrzeżenia Czunga. Ci Parnbakerowie byli w stanie wszystko zniszczyć, ale mogli nie znać swojej pozycji prawnej. Tak podał Komputer. Sil-Czan wytrzymał stanowcze spojrzenie PN. Ten PN był szorstkim człowiekiem, ale także człowiekiem absolutnej prawości... człowiekiem mającym własny kodeks postępowania, h o n o r p u s z c z y, który mógł się niewiele różnić od Kodeksu Biblioteki. Kłamstwo byłoby najpewniejszym sposobem zrażenia takiego człowieka.

Sil-Czanowi przyszło wtedy do głowy, że suma, która mogła zrujnować rząd, była należna tym Parnbakerom. W pewnym sensie ten PN był rządem, a Kodeks Biblioteki wymagał posłuszeństwa względem rządu.

„PN właśnie polecił mi opowiedzieć całą historię”. Sil-Czan czuł, że to rozumowanie upadłoby po ponownym rozważeniu, ale pomogło mu ono podjąć decyzję. Zaczął opowiadać o szakalach z Enklawy Myrmidzkiej, o monitorze wojennym, o skierowanym w dół stożku sterczącym z własności Parnbakerów, o obciążeniu funduszy Archiwów, o ogromnej sumie należnej Parnbakerom... nie pominął niczego.

— Dlaczego jakkolwiek rząd miałby uznać ten dług? — spytał PN, kiedy Sil-Czan skończył.

— Jurysdykcja Enklawy nad planetą jest oparta o przyjętą odpowiedzialność. Subsydia rządowe utrzymują nas przy życiu, zaopatrują w paliwo statki kolekcjonerskie, wszystko. Jeżeli nie są za nas odpowiedzialni, nie mają tu jurysdykcji.

— Na ich miejscu opowiedziałbym się za prostą inwazją — rzekł PN.

Dawid skinął głową potakująco. Hepzeba zamyśliła się, ale nie wyjmowała ręki z dłoni Sil-Czana.

— Lecz Enklawa dzierży władzę przez garść porozumień o wzajemnej współpracy i obronie. Nie jesteśmy zbyt ważni w tych porozumieniach — szczególnie w czasach polityki obniżania kosztów.

— Współczuję — rzekł PN — ale wydaje mi się, że moglibyśmy dostosować się do

każdego rządu. Jesteśmy prostym narodem. Nie kosztujemy dużo.

— Nie słuchał mnie pan uważnie — powiedział Sil-Czan. — Stanowicie największy pojedynczy koszt tej planety. Koszty poprawek w kontroli pogody są większe od naszego budżetu naprawy robotów. To pierwszy koszt, jaki bym obciął.

— Skończyć z naszymi lodowcami i porannymi mgłami? — spytał PN.

— Jasne! Będziecie mieli pogodę, jaką ma reszta z nas.

— Skończą się mgły i nasze wielkie drzewa umrą! Jeśli one umrą, uruchomi to łańcuch...

— Jeśli Enklawa dopnie swego, skończą się wszelkie usługi... z wyjątkiem może przeciwwagi. To zniszczyłoby planetę.

— Czy dobrze cię rozumiem? — spytał Dawid. — Wolna Wyspa rozciąga się w dół prawie do jądra planety?

— I w górę do granicy atmosfery — odparł Sil-Czan.

— Cała ta ziemia — rzekł PN.

— To nie tylko ziemia w ścisłym znaczeniu tego słowa — powiedział Sil-Czan. — Poniżej pierwotnej linii magmy znajduje się...

— Jaka jest tego wartość? — zapytał PN.

— Nawet nie potrafiłbym zacząć tego panu mówić — odparł Sil-Czan.

— Wydaje mi się — powiedział PN — że naszym wspólnym problemem jest uczynienie nas ważnymi dla tej umowy, która trzyma rząd do kupy.

— Fatalnie, że ta Enklawa nie ma Plebsu — rzekła Hepzeba. — Gdyby mogła głosować za... — przerwała, bo Sil-Czan mocno ścisnął jej rękę. Spojrzał na nią, a w jego umyśle zaczął się kształtować śmiały pomysł.

— Co się stało? — zapytała.

Sil-Czan spojrzał na PN.

— Czy pozwoliliby pan, aby nasi technicy zainstalowali tu pewien sprzęt?

— Jaki sprzęt?

— Formalnie, sir, ta planeta należy do pana. Ale Biblioteka jest biurem rządowym. Wątpię, czy uda się panu zebrać te sumy, ale jeśli zażąda pan płatności, wymusi to zebranie się nowego Zgromadzenia Galaktycznego. Enklawa będzie musiała zgodzić się na głosowanie.

— Jaki sprzęt, pytam?

— Nadawczy.

Twarz PN przybrała wyraz namysłu.

— Nieźle chcesz tu namieszać, synu.

— To pan namiesza, sir.

— Jak to się stało, że nagle mówisz do mnie „sir”?

— Mam wejść do rodziny.

PN pokazał w uśmiechu zęby.

— Możesz dostać więcej, niż się spodziewałaś — spojrzał na Hepzebę. — Jesteś zdecydowana?

— Wiesz, że tak.

— Powiedz mi jedną rzecz — rzekł PN. — On nie przyjmie naszego nazwiska. Za wiele ma w sobie ognia. Chyba to zauważyłaś. Czy zadałaś już sobie pytanie, jak zareaguje Plebs na PN o innym nazwisku?

— Nasze dziecko będzie mogło wziąć sobie takie nazwisko, jakie zechce — odparła.

— Może.

— Czy mamy twoje błogosławieństwo?

PN zmarszczył się.

— Czy któraś z twoich sióstr połączy się z Martinem?



— Może Kate. Jest jeszcze za młoda, ale ma na to chrapkę od pewnego czasu.

— To nie to samo, co gdybyś to była ty — rzekł PN.

— Nie to samo — zgodziła się.

PN powoli potrząsnął głową i lekko się uśmiechnął.

— Na Wieczny Kamień, ależ z ciebie kobieta Parnbakerów! — skinął głową. — W takim razie daję wam obojgu moje błogosławieństwo. Dawid może powiedzieć wiążącym słowem.

Sil-Czan rzekł:

— A co z naszym wspólnym...

— Och, zrobię ten twój program — powiedział PN. — I tak zawsze chciałem zobaczyć, jak to działa. Podajmy sobie ręce.

Sil-Czan ujął podaną dłoń. Była twarda i zrogowaciała.

— Nie przerażam cię za bardzo? — spytał PN.

— Nie z a bardzo — odparł Sil-Czan.

— Dobrze. Napisz mi, co chcesz, żebym powiedział. Niech jeden ze skrybów napisze mi to dużymi literami. Moje oczy już nie są takie, jak dawniej.

— Tak jest, sir.

PN odwrócił się gwałtownie i podszedł do drzwi prowadzących na zewnątrz. Otworzył je szarpnięciem.

— A gdzie, na Kamień, jest mój Merlin? Nigdy go nie ma, kiedy go potrzebuję!

Przed kominkiem Dawida Parnbaka ludzie uwijali się jak w ukropie. Meble odsunięto do tyłu. Z me talowego pulpitu ciągnął się po podłodze do okna gruby przewód, który biegł dalej na zewnątrz do miejsca, gdzie został zainstalowany dysk odbiornika mocy. Technicy Archiwum byli zajęci rozmontowywaniem tymczasowego pulpitu naprzeciw kominka, usuwając z niego jeden z wielkich adapterów. Gruby kabel jednak pozostał, tak jak zespół przenośnych romboidów, wzdłuż ściany obok kominka. Romboidy były włączone, choć wygaszone — żadne trójwymiarowe obrazy nie tańczyły przed nimi.

Sil-Czan stał z Hepzebą, patrząc na popołudniowe światło zalewające wykoszone pole, na którym rozbił się odrzutownik. Wrak usunięto, ale w ziemi, na krawędzi wysokiej trawy ciągle widniała bruzda.

Hepzeba dotknęła jego ramienia.

— Zrobione.

— Nie, dopiero się zaczyna.

Sil-Czan przechylił głowę w kierunku admiralskiego promu, który wylądował na końcu wykoszonego pasa i pozostał tam bez żadnych oznak jakiegokolwiek ruchu. Spojrzał za siebie do wnętrza pokoju. Było tam przynajmniej dwudziestu Parnbakerów płci męskiej. Wszyscy mieli broń boczną. Wiedział, że otaczające ich lasy były pełne uzbrojonych Parnbakerów.

PN przeprowadził program nie zmieniając niczego w scenariuszu, ale jego zachowanie wywołało niepokój Sil-Czana. Królewski... wyniosły... zimny. PN lubił władzę, nie było co do tego wątpliwości. Czy myślał o władzy, jaką mógłby mieć jako władca planety? W zachowaniu PN dokonała się głęboka przemiana od jego konferencji ze swoim Merlinem.

Merlin! Zaszuszone mały człowieczek ze skórzaną torbą pełną błyszczących kamyków, wyglądający, jakby miał gdzieś ukrytą drugą torbę pełną błyszczących sztuczek.

— Kto jest w tym promie? — spytał Sil-Czan. — Dlaczego nie wychodzą?

— A co ty byś robił? — zapytała.

— Naradzałbym się ze swoim rządem — skinął głową.

— Wszyscy już do tej pory usłyszeli audycję — rzekła. — Podprzestrzeń musi wrzeć od połączeń.

— Powiedz mi coś — rzekł Sil-Czan. — Jesteście prymitywnym plemieniem zbieracko-

myśliwskim, ale wiecie wszystko o rzeczach takich jak podprzestrzeń. Jakim sposobem?

— Jesteśmy po prostu naturalnie ciekawi waszych zabawek — odparła. — PN jest najgorszy ze wszystkich. Musi zobaczyć próbkę wszystkiego. Niektóre rzeczy podobają się nam i tych używamy. Inne rzeczy zmieniłyby nas za bardzo i te odrzucamy. To jest główna funkcja Plebsu — zachować naszą czystość kulturową.

— Czystość...

— Dlatego mamy tak surowe ograniczenia w kontaktach z kontynentem. Cholernie mało bratania się.

— Ale czasami się zdarza?

Szturchnęła go.

— No pewnie.

— Coś się tam dzieje — powiedział..

Odsunęła się od niego i podeszli bliżej do okna. W admiralskim promie otworzył się luk i na ziemię wysunęła się pochylnia. PN i mały oddział uzbrojonej straży wyłonili się z lasu przy polu i podeszli do punktu naprzeciw pochylni. Kiedy zatrzymali się, z wnętrza promu wyłonili się ludzie — błękitne mundury Galaktycznej Marynarki Wojennej z okazałą błyszczącą plecionką.

Sil-Czan rozpoznał Perluga Ambroso, przywódcę szakali, ubranego w mundur kapitana myrmidzkiej floty przestrzennej.

— Aaach! — wyrwało mu się.

— Coś nie w porządku? — zapytała Hepzeba.

— Nie. Coś się potwierdziło.

Była też mniejsza postać wśród mundurów, ktoś w purpurze, ale tłum wojskowych ukrył ją przed oczyma Sil-Czana. Grupa wojskowych zatrzymała się o dwa kroki od PN i nastąpiła krótka wymiana słów.

Luk promu zatrzasnął się i z otworów w kadłubie wysunęła się broń, grożąc całemu terenowi wokół.

PN wykonał w tył zwrot i poprowadził grupę do domu Dawida. Teraz Sil-Czan mógł rozpoznać postać w purpurze w środku wojskowych: C z u n g ! Dyrektor był ubrany w swe oficjalne szaty.

— To Dyrektor Czung — wyszeptał Sil-Czan.

— Wiem — rzekła Hepzeba. Odwróciła się do Sil-Czana, kiedy pierwsza osoba podeszła do drzwi. Dawid pojawił się nie wiadomo skąd i otworzył je. Grupa Admirala weszła pojedynczo, za nią Czung i ludzie PN. Admirala był rumianym mężczyzną z oczami jak guziki. Był prawie tak wysoki, jak PN.

Kiedy wszedł Czung, Hepzeba ukloniła mu się i rzekła:

— Miłego poranka, kuzynie.

Sil-Czan zagapił się na nią. „K u z y n i e”?

Czung odkłonił się jej.

— Pozdrawiam Wybrane Łono.

Po tej wymianie uprzejmości PN zwrócił się do Czunga:

— Miałaś rację, a ja nie, Kuzynie. Masz lepsze oko, niż sądziłem. On jest mężczyzną.

Admiral nie miał ochoty na grzeczności. Huknął:

— Niech mi ktoś lepiej wyjaśni tę bajeczkę o długu Unii Galaktycznej! Jesteśmy tutaj w sprawie zbadania kosztów tej drobnej planetki i jakiegokolwiek długu, które...

— Chwileczkę — przerwał PN.

Admiral zmarszczył się.

— Parę minut temu — rzekł PN — wysłałem prywatną prośbę do kilku członków Unii Galaktycznej. Zażądałem zwołania Zgromadzenia Ogólnego.

— Zażądałeś? — Admirala nawet nie usiłował ukryć swej pogardy. — Ty?

— Zażądałem — odparł PN. Królewsko, wyniośle i zimno.

— Tylko przywódcy suwerennych planet mogą z a ż a d a ć zwołania Zgromadzenia Ogólnego. Ta planeta jest biurem rządowym.

— B y ł a biurem rządowym — rzekł PN.

Nagła myśl przebiegła umysł Sil-Czana. Omiótł pokój spojrzeniem, szukając Merlina. Gdzie był ten zasuszony mały intrygant? Nigdzie w zasięgu wzroku.

Trójwymiarowe obrazy wielu twarzy zaczęły się pojawiać w romboidalnym ognisku w drugim końcu pokoju. Sil-Czan przerwał poszukiwanie Merlina i spojrzał na twarze, wiele z nich rozpoznając z Księgi Władców Planet i Układów — Prezydentów, Dyktatorów, Imperatorów, Regentów... Był tam Regent Naos... i Święty Dydakta z Jacun... krwawa mała Messala z Hornaruth z uśmiechem na swoich płaskich wargach...

Większe ognisko w centrum ożyło obrazem okrągłej twarzy Hobarta z Myrmid, Imperatora Enklawy, władcy Unii Galaktycznej. Jego rysy były płaskie, oczka błyszczące i rozbiegane. Jego twarz była dziwnie podobna do twarzy Ambroso. „Może spokrewnieni?” — zastanowił się Sil-Czan.

PN skłonił się Imperatorowi.

— Możemy zaczynać.

Sil-Czan czuł w żołądku zimną bryłę. „PN chce sięgnąć po osobistą władzę!”

Hobart z Myrmid odpowiedział. Jego głos brzmiał poprzez trzask transmisji podprzestrzennej.

— Moi doradcy właśnie poinformowali mnie, że to Zgromadzenie Ogólne zostało zwołane nielegalnie. Osoby odpowiedzialne za to zostaną aresztowane i odosobnione w...

— Wysłuchasz mnie! — ryknął PN. — Ja jestem legalnym suwerenem tej planety!

Zrobił dwa kroki w kierunku trójwymiarowego obrazu. Admirał i straż ruszyli, aby go zatrzymać, ale zamarli w bezruchu, kiedy w dłoniach Parnbakerów ustawionych pod ścianami pojawiła się broń.

PN rzekł:

— Mam legalne roszczenia względem Unii co do sumy, która wyczerpałaby twoje zasoby.

— To drobny szczegół techniczny! — krzyknął Imperator.

— Wy, suwerenni Zgromadzeni, słyszycie mnie — rzekł PN. — To, co robicie mnie, mogłoby być zrobione każdemu z was. Proponuję kompromis. Potwierdzicie moją suwerenność, a ja napiszę „zapłacono” na długi, który mi jesteście winni.

Sil-Czan zawrzał gniewem. Przyciągnął Hepzebę parę kroków bliżej do PN.

— Sprzedaje nas — mruknął

Wśród Zgromadzonych podniósł się tumult.

— Wyjaśnij! Wyjaśnij!

Hobart przekrzykiwał hałas:

— To tylko szczegół techniczny!

— Wysłuchać go! — krzyczeli Zgromadzeni.

PN podszedł jeszcze bliżej do obrazów, a soczewki romboidów podażyły za nim. W nagłej ciszy, jaka nastąpiła, wyjaśnił wszystko, po czym zakończył:

— Czy wasz Imperator jest najwyższym dyktatorem, który nie odpowiada przed władzą Zgromadzenia?

— On rządzi zgodnie — z prawem! — wykrzyknął jeden z Zebranych.

Inni podjęli:

— Zgodnie z prawem! Zgodnie z prawem!

PN skinął głową.

— A więc proponuję...

Sil-Czan miał dość.

— To oszustwo! — ryknął. Stał u boku PN, ciągnąc za sobą Hepzebę. Broń Parnbakerów skierowała się na nich.

— Kto to jest? — zapytał stanowczo Imperator.

— Jestem urzędnikiem Archiwów Galaktycznych!

— Ten człowiek nie ma tu żadnej władzy — powiedział PN.

Sil-Czan wyszarpnął listy uwierzytelniające z kieszeni, machnął nimi w kierunku soczewek. Zabrział gong Imperatora, wprowadzając ciszę. Hobart z Myrmid powiedział surowym tonem:

— Wysłuchajmy tego urzędnika Archiwów Galaktycznych. Ja też uważam, że jesteście oszukiwani.

— Hobart z Myrmid jest jednym z tych, którzy was oszukują — powiedział Sil-Czan.

Potrzeba było dwudziestu uderzeń gongu, aby uciszyć wykrzykujących Zgromadzonych.

— Schwycić tego człowieka i zatrzymać go w areszcie! — ryczał Imperator.

Lecz pokój rozbrzmiał nagle głosami Zebranych:

— Nie! Nie! Wysłuchajmy go! Wysłuchajmy!

Hobart z Myrmid zawahał się.

Sil-Czan wykorzystał szansę:

— Oskarżam Hobarta z Myrmid o planowanie zostania absolutnym dyktatorem Unii.

Zostało to powitane skupioną ciszą.

— Mogę udowodnić moje oskarżenie za pomocą Zapisów Archiwów — rzekł Sil-Czan.

— Hobart z Myrmid planuje rozwiązać Archiwa Galaktyczne i rozrzucić ich co ważniejsze fragmenty między swych przyjaciół.

— Marnujecie nasz majątek — krzyknął Imperator. — Wy też musicie działać sprawnie!

— A która planeta będzie miała monopol na naszą wiedzę o broni? — dopytywał się Sil-Czan.

Twarze zebranych pochyliły się bliżej.

— A kto dostanie nasze nauki fizyczne? — spytał Sil-Czan. — Może Planeta Myrmida?

— On kłamie! — wrzasnął Imperator.

— Zgromadzenie może wysłać własnych kontrolerów — rzekł Sil-Czan. — A wtedy zobaczymy, kto kłamie.

Imperator skinął ręką ku Admirałowi:

— Uciszyć tego głupca!

Parnbakerowie wycelowali swą broń w Admirala.

— Czy chcecie, żeby kontrola nad tymi Archiwami wpadła w ręce garstki ambitnych ludzi? — spytał Sil-Czan.

Jeden ze Zgromadzonych, którego obraz widniał wysoko po prawej stronie, krzyknął:

— Jeżeli Archiwa są tak niebezpieczne, wyparujmy je!

Sil-Czan powiedział:

— Kto z was wie, które akta zostały skopiowane w ciągu ostatnich miesięcy? Zniszczycie oryginały, a ludzie z kopiami i tak dopną swego.

Patrzyły na niego milczące twarze.

— Odnówcie nasz oryginalny statut, ale bezpośrednio pod auspicjami Zgromadzenia — powiedział Sil-Czan. — Wszyscy znacie naszą bezstronność. Jesteśmy otwarci dla każdego. Wy jesteście prawdziwym rządem i znacie nasz Kodeks: posłuszeństwo wobec rządu.

— Prawda! Prawda! On ma rację! — zagrzmiały obrazy. Żółte światelka głosów „za” wypełniły miejsce obrazów. Napełniły złotym blaskiem salonik Dawida Parnbakera.

— I dajcie nam oddział straży, aby ustrzec nas przed powtórzeniem tego incydentu! — zażądał Sil-Czan.

Pokój ponownie rozblęsnął złotym blaskiem.

Jeden z Zebranych, którego obraz widniał wysoko pośrodku zwrócił się do Admirala:

— Admirale! Będzie pan osobiście odpowiedzialny za Archiwa, aż do przybycia oddziału. Życie pańskie i wszystkich pańskich oficerów będzie ceną niepowodzenia!

Regent Naos w dolnym lewym rzędzie obrazów uruchomił brzęczyk.

— Konferencja zamknięta! — zawołał. Żądanie zostało powtórzone przez wszystkie obrazy.

Obraz Imperatora zniknął. Inne zaczęły wygasać. Wkrótce wygasły wszystkie.

PN odwrócił się.

— Oczekałeś dość długo, zanim przerwałeś — rzekł. — Zacząłem się zastanawiać, czy cię źle nie oceniliśmy.

— Źle oce... — Sil-Czan potrząsnął głową.

— To miało być naturalne i dramatyczne — powiedział Czung, podchodząc do Sil-Czana z lewej strony. — Bardzo dobrze.

— Na Kamień — szepnęła Hepzeba. — To było ukartowane!

— Obawiam się, że będę musiał sobie radzić z całą planetą — rzekł PN. — Mam wystarczające kłopoty z własną rodziną.

— I zepsułoby to jedną z najcenniejszych rzeczy, jakie osiągnęliśmy — powiedział Czung.

Sil-Czan zamrugnął oczyma patrząc na niego.

— Zniszczyłoby to żywą, oddychającą, prymitywną kulturę — wyjaśnił Czung.

— Ci ludzie? — Sil-Czan wskazał Parnbakerów. — Prymitywni?

— W stylu życia — powiedział Czung. — Oni naprawdę są myśliwym i zbieraczami. Och, używają całkiem niezłej broni, ale nie tak wyrafinowanej, jak mogłaby być.

— Ciągle istnieje sprawa tej całej ziemi pod nami — rzekł PN.

Sil-Czan odwrócił się do niego.

— Ta z i e m i a to prawdopodobnie największe nietknięte złożo niklozelaza w tej części wszechświata — wystarczające do napędzania statków Archiwów przez tysiące lat. Próbowałem wam powiedzieć wcześniej. Magma dopiero co ostygła i zestaliła się.

— Całkiem wartościowe, co? — zapytał PN. Skinął głową. — No, nie załatwiliśmy jeszcze tej sprawy reszty naszego długu. Może...

— Teraz uważam, że Zgromadzenie odstąpi go bezpośrednio Archiwom — powiedział Sil-Czan.

— Ukradnie go nam? — PN był oburzony.

— Zapewnialiśmy coraz kosztowniejsze usługi przez te wszystkie stulecia — rzekł Sil-Czan.

— Na mocy kontraktu! — warknął PN.

— Może — odparł Sil-Czan. — Myślę, że paru dobrych prawników mogłoby zablokować całą sprawę na przynajmniej kilka stuleci. Oczywiście trzeba by było przeprowadzić wiele badań — tu na miejscu. A my...

Obraz naotańskiego Regenta pojawił się przed romboidami i przemówił:

— Proszę o pozwolenie włączenia się.

Sil-Czan i inni odwrócili się do obrazu. Regent był starszym mężczyzną o wąskiej twarzy i podejrzanie ciemnych włosach. Wskazywało to na manipulację z melaniną... i na przynajmniej odrobinę męskiej próżności.

— Mam zaszczyt być Jeremem z Naos — rzekł — nowym Imperatorem Unii. Enklawa Jeremiańska odnawia statut Archiwów pod zarządem Pattersona Czunga.

Czung skłonił się.

— Jesteśmy zaszczyceni.

— Formalne nadanie urzędu i oficjalne dochodzenie w sprawie tego pożałowania

godnego incydentu nastąpią wkrótce — rzekł nowy Imperator.

Czung ponownie się skłonił.

Obraz zniknął.

— Wracamy do niepewnego rozejmu między ignorancją a wiedzą — mruknął Czung. Uśmiechnął się. — I podejrzewam, że nastąpi nowy napływ s t u d e n t ó w prowadzących badania specjalne.

PN ściągnął brwi.

— A co z długiem i całym tym... paliwem pod moją wyspą?

Czung wzruszył ramionami.

— Och, myślę, że to może zaczekać na PN przychylniej nastawionego do Archiwów — spojrzał na Sil-Czana i Hepzebę. — To wyszło całkiem nieźle, nie sądzisz? O wiele lepiej, niż oczekiwaliśmy.

— Ukartowane z góry — mruknęła Hepzeba.

— Czy on mówi, że nasz syn mógłby być PN? — zapytał Sil-Czan. — Czy nasz syn miałby to prawo?

— Przez pochodzenie w linii prostej — odparła. — Będziemy musieli dobrze go przygotować.